z miłości do miasta

MAGAZYN TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW ZIELONEJ GÓRY „WINNICA” | XII 2025 – III 2026 | NR 18

na WINNICY

ISSN 2544–2880

fot. Daniel Jung

Historia budynku przy ul. Licealnej 9 zaczęła się w 1850 roku, kiedy burmistrz Christoph Kauffmann postawił w tym miejscu trzykondygnacyjny dom. W 1909 r. dom został rozbudowany na potrzeby liceum dla dziewcząt. W 1928 r. dobudowano aulę. W 1945 r. budynek był siedzibą Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Od 1946 r. znajdowało się tu gimnazjum i liceum, potem Szkoła Podstawowa nr 9 i Policealne Studium Kształcenia Kadr. Od 2004 r. mieści się tu rektorat Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Więcej o budynkach poszkolnych w Zielonej Górze – str. 2.

Uniwersytet Zielonogórski jest w elitarnej grupie uniwersytetów klasycznych, tzw. bezprzymiotnikowych. Uczelnia składa się z siedmiu wydziałów, w ramach których funkcjonuje 29 instytutów. Studiuje 10 398 osób na 71 kierunkach w języku polskim i ośmiu w języku angielskim. Pierwszy rok rozpoczęło 3562 studentów. UZ prowadzi dwie szkoły doktorskie, w których kształci w 18 dyscyplinach. Ma prawo nadawania stopni naukowych: doktora habilitowanego i doktora w 23 dyscyplinach. Uczelnia zatrudnia 118 profesorów tytularnych, 240 doktorów habilitowanych i 516 doktorów.

Wyższą uczelnią jest Instytut Filozoficzno-Teologiczny im. Edyty Stein, przygotowujący do pracy teologów i katechetów. Instytut powstał w 2003 r. Prowadzi studium wiary, studium liturgiczne, studium muzyki kościelnej i studium pastoralne.

W 14 szkołach ponadpodstawowych, podlegających samorządowi miejskiemu, kształci się 9,5 tys. uczniów z Zielonej Góry i okolicznych miejscowości. W I Liceum Ogólnokształcącym istnieje klasa, której działalność jest oparta na współpracy z Uniwersytetem Zielonogórskim. W mieście funkcjonuje Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych i Zespół Szkół Muzycznych. W Zielonej Górze są 23 szkoły podstawowe. Uczęszcza do nich 13 tys. uczniów, wśród nich jest 1,6 tys. pierwszoklasistów.

Ponadto nauczanie prowadzą takie placówki edukacyjne, jak na przykład Społeczne Ognisko Artystyczne, Szkoła Muzyczna „Yamaha”, Dom Harcerza, Lubuska Akademia Rzemiosła, Akademia Twórczych Poszukiwań, Uniwersytet Trzeciego Wieku, Akademia Piłkarska Macieja Murawskiego, szkoły tańca, szkoły języków obcych.

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIELONEJ GÓRY WINNICA

1.

2.

Poniemieckie poszkolne

fot. Daniel Jung

3.

4.

1. ul. Kazimierza Lisowskiego 1-3 (szkoła zbudowana w latach 1768-1770) – obecnie biura
2. ul. Długa 13 (1909 r.) – Miejski Ośrodek Pomocy Rodzinie
3. pl. Słowiański 6 (1846 r.) – Sąd Okręgowy
4. ul. Stanisława Moniuszki 19 (1902 r.) – Miejskie Przedszkole nr 18
5. ul. Fryderyka Chopina 15 (1897 r.) – Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli
6. pl. Słowiański 12 (1883 r.) – Sąd Rejonowy

6.

5.

W NUMERZE:

Od redakcji
Poniemieckie, poszkolne 2
Pominięty jubileusz 3

Nad Złotą Łączą
Tak wypadł Winny Gród w rankingach 4
Cel główny: integrowanie środowiska naukowego 5-7
Jak walczono z analfabetyzmem 7-8
Lekarstwo na niski poziom kształcenia ciał pedagogicznych 9
Regionalna kuźnia kadr nauczycielskich 10-11
Najpierw powstała wyższa szkoła techniczna 12-13
Pierwsza uczelnia niepubliczna 14
Nie wyszło na zdrowie 15
Uczono, jak uprawiać i pielęgnować winorośle 16
Uczniowie nosili stalowe mundury 17
Edukacja na poziomie europejskim 18-19
Atrakcją były dowcipy, anegdoty i rysunki 19-20

Proza i poezja
Jestem szczęśliwa bez ciebie 21-24
*** (buduję córce), Nie lubię Warszawy, Napiera przeszłość, *** (za drzwiami) 24

Recenzje i omówienia
Lepiej późno niż wcale 25
Artyści na muzealnych kartkach 26

Adres
Pasja i chęć tworzenia rozkwita w każdym wieku 27
Pałac nakryty szklanym dachem 28
Misja pod samym niebem 29
Ul. Bohaterów Westerplatte 21A/23 30

Portrety
Życie artysty w odsłonach 31
Lekcja edukacji międzykulturowej 32
Prezydent miasta lubiła się bawić 33-34
Dama polskiego kabaretu 34-35

Jak zostałem Zielonogórzaninem
Najlepszy chirurg wśród alergologów 36-38

Kronika
Fałszywe wiadomości 39
Jesteśmy wolontariuszami 39
Od wiosny do jesieni 40
W pracowni Adama Bagińskiego 41

Gdzie indziej
Wrażliwe na niedolę najmłodszych 42

Pominięty jubileusz

Żadnej akademii, capstrzyku, wiecu, oficjałki. Nawet wzmianki w regionalnej gazecie. Radia także milczały. Czy TVP powiedziała cokolwiek na temat tego jubileuszu, nie wiem, bo mój telewizor przestał odbierać sygnał telewizji naziemnej. Władze miasta zapomniały, że 75 lat temu Zielona Góra została miastem wojewódzkim? Zlekceważyły/olały? Nie wiedziały? Przecież jeden z zastępców prezydenta ma dyplom magisterski historyka. 75-lecia nie zauważyli historycy uniwersyteccy. Nie dostrzegli go muzealnicy.

Ustawa z 26 czerwca 1950 roku powołała województwa: koszalińskie, opolskie i zielonogórskie. Inauguracyjna sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej odbyła się 8 lipca 1950 r. w teatrze. Nie mam wątpliwości, że dzięki tej decyzji z biegiem lat 30-tysięczna Zielona Góra stała się miastem średniej wielkości (24 miejsce w kraju pod względem liczby ludności i ósme, jeżeli chodzi o powierzchnię). Najpierw powstała uczelnia techniczna, potem humanistyczna i w 2001 r. uniwersytet kształcący między innymi prawników, lekarzy, kandydatów na artystów malarzy, filozofów, dziennikarzy, pedagogów, inżynierów. Gdyby nie decyzja z 1950 r. pewnie nie byłoby w Zielonej Górze redakcji rozgłośni radiowych, gazet, zagłębia kabaretowego, biblioteki publicznej o statusie naukowym, klinicznego szpitala, może konkatedry, siedziby biskupa itd. Zielona Góra pozostałaby mieściną powiatową. Dzięki temu udało się zamalować białą plamę na kulturalnej mapie Polski, jak w 1956 r. powiedział ówczesny premier Cyrankiewicz. I dodać skrzydeł niedorozwiniętej, jak określił Zieloną Górę późniejszy szef rządu Buzek, gdy zapadała decyzja o powołaniu województwa lubuskiego z siedzibą władz samorządowych w Zielonej Górze i przedstawicielstw administracji centralnej w Gorzowie.

Na stronie www.zielona-gora.pl, będącej oficjalnym portalem miasta, wisi informacja, że w 2026 r. Zielona Góra będzie świętowała 200-lecie wytwórni win musujących. W 1826 r. przy Hospitalgasse (obecnie ul. Moniuszki) powstała taka firma. Pod różnymi nazwami, a pod koniec istnienia jako Lubuska Wytwórnia Win, trwała do 1998 r., kiedy sąd ogłosił jej upadłość. Będzie więc kolejne fetowanie tego, czego nie ma. Ostatnie takie odbyło się w 2023, kiedy Zielona Góra świętowała 700-lecie nadania pełni praw miejskich, mimo że nikt nie widział dokumentu potwierdzającego tamtą decyzję. Rok wcześniej było podobnie, to znaczy imprezowano z okazji 800-lecia, chociaż w żadnym archiwum nie ma pergaminu poświadczającego, kiedy założono miasto.

Ps.
1 czerwca 2025 w drugiej stolicy regionu lubuskiego – w Gorzowie Wielkopolskim – uroczyście obchodzono 50-lecie województwa gorzowskiego, które przestało istnieć z końcem 1998 r. Z tej okazji wojewoda odsłonił kamień pamiątkowy przed gmachem Lubuskiego Urzędu Wojewódzkiego. I z tej okazji na piersiach Gorzowian zawisł Medal 50-lecia z czerwono-biało-zieloną wstążką.

Alfred Siatecki

ISSN 2544-2880
na WINNICY
Magazyn Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry WINNICA

Redagują: Alicja Błażyńska, Alina Polak-Woźniak, Alfred Siatecki – redaktor naczelny. Projekt winiety – Wacław Serdeczny. Projekt layoutu, skład i łamanie – Emilia Ćwilińska. Druk – Oficyna Wydawnicza UZ. Numer zamknięto 15 września 2025 r.

Adres do korespodencji
65-093 Zielona Góra, ul. Lisia 37, e-mail: tmzg-winnica@o2.pl, www.tmzg.org.pl

Numer ukazał się dzięki akcji społecznej z udziałem wolontariuszy. Przygotowanie i wydanie magazynu „Na Winnicy", dofinansowane przez Narodowy Instytut Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego ze środków Korpusu Solidarności – Program Wspierania i Rozwoju Wolontariatu Systematycznego na lata 2018-2030.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów przyjętych do druku oraz prawo nieodpłatnego publikowania listów. Redakcja zastrzega sobie również możliwość wykorzystania publikowanych materiałów na stronie internetowej TMZG „W". Za treść zamieszczonych reklam, ogłoszeń, listów i materiałów sponsorowanych redakcja nie odpowiada.

Tak wypadł Winny Gród w rankingach

45 polskich uczelni znalazło się w rankingu magazynu U.S. News & World Report. Ranking obejmuje 2250 czołowych instytucji ze 105 krajów. W klasyfikacji na lata 2025–2026 Uniwersytet Zielonogórski zajął 13 miejsce wśród najlepszych uniwersytetów w Polsce, 444 – w Europie i 1291 – w rankingu najlepszych uniwersytetów globalnych.

Ranking uczelni i kierunków studiów Perspektywy 2025 przygotowała kapituła, w skład której weszli reprezentanci środowiska akademickiego, instytucji wspierających innowacyjność i przedstawicieli rynku pracy, na który trafiają absolwenci. Od lat najlepszą polską uczelnią akademicką jest Uniwersytet Warszawski. Wśród 23 uniwersytetów tzw. bezprzymiotnikowych Uniwersytet Zielonogórski znalazł się 14 miejscu razem z uniwersytetami w Białymstoku i Olsztynie, wyprzedzając uniwersytety m.in. w Kielcach, Rzeszowie, Bydgoszczy i Szczecinie. Wśród 159 uczelni akademickich mających prawo nadawania stopnia doktora UZ jest na 50 miejscu razem z Politechniką Częstochowską, Katolickim Uniwersytetem Lubelskim, Uniwersytetem Kardynała Stefana Wyszyńskiego i Uniwersytetem Rolniczym w Krakowie. Jeżeli chodzi o ranking kierunków studiów, a wzięto pod uwagę 75 kierunków, to UZ wypadł nieźle, bo filologia polska została sklasyfikowana na 4 miejscu, jak i filologie obce. Pedagogika i pedagogika specjalna znalazły się na 5 miejscach, filologia angielska – 6, dziennikarstwo i komunikacja – 8, elektrotechnika, politologia – 10, administracja, informatyka i ekonometria, pielęgniarstwo – 11, automatyka i robotyka, bezpieczeństwo, mechanika i budowa maszyn, ratownictwo medyczne – 12, wychowanie fizyczne – 13, zarządzanie i inżynieria produkcji, kierunek lekarski – 14, architektura, socjologia – 15, biologia, filozofia – 17, informatyka – 18, budownictwo, inżynieria biomedyczna, inżynieria środowiska, logistyka – 19, prawo – 20, biotechnologia, historia – 22, matematyka – 26.

Bachantka Uniwerka stoi przed wejściem do gmachu Uniwersytetu Zielonogórskiego przy al. Wojska Polskiego 69, jej autorem jest artysta rzeźbiarz Robert Tomak

W rankingu liceów ogólnokształcących V LO im. K. Kieślowskiego znalazło się na 152 miejscu w kraju, I LO im. E. Dembowskiego – 181, IV LO im. kpt. Horbaczewskiego (Lotnik) – 327. Technikum nr 1 im. T. Kościuszki (Budowlanka) zajęło 6 miejsce w rankingu techników, Technikum nr 3 (Ekonomik) – 187, Technikum nr 2 (Elektronik) – 428.

W 2025 r. 1471 uczniów zielonogórskich szkół średnich podeszło do matury. 87,08 proc. spośród nich zdało egzamin dojrzałości. W III LO, V LO, Szkole Myślenia Twórczego i Europejskim Liceum Ogólnokształcącym dr Rahn zdawalność wyniosła 100 proc. Zielona Góra po raz kolejny uzyskała najlepszy wynik w okręgu egzaminacyjnym obejmującym województwa lubuskie, wielkopolskie i zachodniopomorskie.

Dyrektor Instytutu Nauk o Zarządzaniu i Jakości UZ dr hab. inż. Sebastian Saniuk, prof. UZ, znalazł się w gronie 0,5 proc. najwyżej ocenianych naukowców na świecie w rankingu Top Scholar 2024 by ScholarGPS. Dr hab. inż. Marcin Relich, prof. UZ, wszedł do grona 40 najwyżej ocenianych naukowców na świecie w obszarze rozwoju nowego produktu. Uczony jest kierownikiem Katedry Kontrollingu w instytucie kierowanym przez dr. hab. inż. Saniuka.

Zielona Góra znalazła się na 9 miejscu wśród miast średniej wielkości (100-400 tys. mieszkańców) w rankingu Acolade. Międzynarodowy inwestor działający na rynku nieruchomości przemysłowych wyłonił miasta o największym potencjale inwestycyjnym z punktu widzenia lokalizacji nieruchomości komercyjnych, takich jak magazyny, hale przemysłowe czy centra logistyczne. W pierwszej dziesiątce są m.in. Szczecin, Bydgoszcz, Lublin, Gorzów.

W kategorii miast 100-200 tys. w rywalizacji o puchar Rowerowej Stolicy Polski Zielona Góra zajęła drugie miejsce. W klasyfikacji generalnej Winny Gród znalazł się na 14 miejscu wśród 54 ośrodków miejskich rywalizujących o puchar. 1911 Zielonogórzan wykręciło 438,5 tys. kilometrów. Mirosława Jabłonka przejechała 4252,5 km, a Przemysław Rybak – 3683. Kilometry zbierało 1911 mieszkańców miasta.

W rankingu PZU Lokalnie Zielona Góra znalazła się na siódmym miejscu – miasto z czystym powietrzem, dużą ilością zieleni i wysokim poziomem bezpieczeństwa. Ranking objął 38 miast powyżej 100 tys. mieszkańców.

Zielona Góra wygrała konkurs „Aktywne Lubuskie", zorganizowany przez Urząd Marszałkowski Województwa Lubuskiego na najwyższą frekwencję w drugiej turze wyborów prezydenta Rzeczypospolitej. W Zielonej Górze frekwencja wyniosła 74,74 proc., nagroda to 250 tys. zł. Drugie miejsce zajęła Kłodawa (74,5 proc., 150 tys. zł) i trzecie Świdnica (72,37 proc., 100 tys. zł). Zielonogórzanie zdecydowali, że nagroda trafi do schroniska dla bezdomnych zwierząt.

Cel główny: integrowanie środowiska naukowego

ROZMOWA Z PROF. DR HAB. MAŁGORZATĄ MIKOŁAJCZAK, PREZES LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA NAUKOWEGO

– Zanim zadam pytania dotyczące LTN, proszę podpowiedzieć, kim pani jest: prezes, prezeską czy prezesą? Nie byłoby tego pytania, gdyby nie to, że od niedawna kobietę kierującą ministerstwem niektórzy politycy i dziennikarze nazywają ministrą. Mnie bardziej odpowiada ministerka, jak nauczycielka czy pielęgniarka. A najlepiej po staremu – minister. Pani ukończyła wrocławską polonistykę, gdzie sprawy języka są domeną profesora Jana Miodka.

– Mam do tego liberalne podejście. Jeżeli rozmówca chce używać feminatywów, proszę bardzo – i wówczas raczej „prezeska". „Prezesa" nie brzmi najlepiej dla mojego polonistycznego ucha. Jeżeli ktoś woli zachować tradycyjną formę, czyli „prezes", nie jestem temu przeciwna. Notabene takie określenie mojej funkcji jest w statucie stowarzyszenia i znajduje się na pieczątce imiennej. Stawiałabym na pierwszym miejscu – przed modą czy poprawnością – językową uprzejmość; myślę, że nasz język może się wpisywać w różne style komunikowania się.

– To, co działo się w Zielonej Górze po utworzeniu województwa w 1950 roku, pisarz Zygmunt Trziszka nazwał eksperymentem. „Zielona Góra była wtedy najlepszym miejscem na ziemi, gdzie można było uprawiać selfmademaństwo, czyli robienie siebie (...) Z tego eksperymentu miasto ma własnych profesorów i docentów, poetów i dziennikarzy". Czy utworzenie LTN w 1964 r. wynikało z potrzeb mieszkających tu ludzi? Czy może była to inicjatywa ówczesnych władz politycznych?

– Jeszcze przed utworzeniem LTN w „Gazecie Zielonogórskiej" była rubryka „Lubuska droga do uniwersytetu", gdzie pojawiały się artykuły świadczące o tym, że istniała taka potrzeba. Podobna dyskusja była prowadzona na łamach „Nadodrza". W różnych miejscach podnoszono tę kwestię, można więc przyjąć, że powstanie LTN było odpowiedzią na oczekiwania mieszkańców województwa. Konkretna decyzja powołania stowarzyszenia zapadła prawdopodobnie w Komitecie Wojewódzkim PZPR i Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Wtedy nic nie powstawało bez zgody tych instytucji. Czyli była to tyleż inicjatywa oddolna, co administracyjna. Proszę pamiętać, że w naszym regionie bardzo brakowało kadry naukowej, należało więc podjąć jakieś kroki, by ją pozyskać, kształcić młodzież na miejscu i rozwijać działalność naukową – na początku przy wsparciu przyjezdnych naukowców. Jedną z możliwości było utworzenie stowarzyszenia, skupiającego osoby zainteresowane prowadzeniem badań naukowych. Podstawy do utworzenia takiej organizacji istniały wcześniej. W 1957 roku zawiązało się Lubuskie Towarzystwo Kultury, w którego strukturach działał Ośrodek Badawczo-Naukowy. Jeszcze wcześniej rozpoczęła działalność Stacja Naukowa Polskiego Towarzystwa Historycznego. W utworzeniu LTN mieli swój ogromny udział naukowcy z Poznania i Wrocławia, mniejszy, ale także ważny, badacze z Łodzi i Warszawy. Pierwszym prezesem został historyk prawa profesor Jan Wąsicki z Poznania, późniejszy rektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej, ale trzeba też pamiętać, że pojawiały się głosy przeciwne, które nie widziały potrzeby powołania w naszym województwie LTN. Na szczęście nie one zdecydowały.

– Po 1989 roku wiele stowarzyszeń zaprzestało działalności. LTN się utrzymało. Przypadek czy rzeczywista potrzeba istnienia takiej organizacji?

– Chylę głowę przed moim poprzednikiem profesorem Józefem Korbiczem, który kierował stowarzyszeniem przez 30 lat. Zostając jego prezesem w 1991 roku, zdawał sobie sprawę z tego, że LTN już nie może prowadzić takiej działalności, jak przed transformacją ustrojową. Stowarzyszenie zostało pozbawione siedziby, pracowników i wsparcia finansowego instytucji państwowych. Dlatego profesor opracował program działalności dostosowany do nowej sytuacji. Przestały funkcjonować wydziały i sekcje, ale rozwinęła się działalność konferencyjna o charakterze krajowym i międzynarodowym. Dominowały konferencje z udziałem przedstawicieli nauk ścisłych z Polski i zagranicy, co zrozumiałe, wszak profesor Korbicz kierował Komisją Komitetu Automatyki Robotyki Polskiej Akademii Nauk i miał kontakty z najwybitniejszymi ośrodkami informatycznymi na świecie. Odbywały się także konferencje z udziałem humanistów z całej Polski, na przykład ważne konferencje dotyczące transgraniczności. Wtedy zaczęło się też ukazywać pod egidą stowarzyszenia prestiżowe, liczące się na całym świecie czasopismo „International Journal of Applied Matemathematics and Computer Science".

– Ile jest tego LTN z początków działalności w obecnym stowarzyszeniu? Jaka teraz jest misja LTN?

– Kiedyś głównym celem było prowadzenie działalności naukowej, propagowanie i wspieranie nauki ze szczególnym uwzględnieniem potrzeb gospodarki i kultury regionu. W statucie była mowa o integracji środowiska. Teraz na plan pierwszy wysunęło się właśnie integrowanie środowisk naukowych, w szczególności akademickich. Ale ważne jest też promowanie nauki i rozwijanie tej, która dotyczy naszego regionu czy spraw pogranicza polsko-niemieckiego. Ważnym celem stowarzyszenia jest upowszechnianie wiedzy o regionie, jego historii, kulturze, przyrodzie, sztuce et cetera. Członkami naszego stowarzyszenia są głównie Zielonogórzanie, ale nie tylko, na przykład po ostatniej konferencji z cyklu „Region w dialogu" otrzymaliśmy deklaracje przystąpienia do stowarzyszenia czterech osób reprezentujących gorzowską Akademię im. Jakuba z Paradyża. Zasięg terytorialny LTN to województwo lubuskie, co nie oznacza, że zainteresowani naszą działalnością, a mieszkający w innych regionach, nie mogą należeć do stowarzyszenia czy brać udziału w konferencjach i sympozjach przez nas organizowanych. W konferencji poświęconej zintegrowanym badaniom regionalistycznym oprócz Lubuszan uczestniczyli badacze z frankfurckiej

Małgorzata Mikołajczak – prof. dr hab., kierownika Zakładu Literaturoznawstwa w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, od 2012 r. członkini Komitetu Nauk o Literaturze PAN. Kieruje międzyuczelnianym zespołem realizującym projekt „Nowy regionalizm w badaniach literackich", pełni funkcję redaktora serii wydawniczej „Nowy regionalizm w badaniach literackich", ukazującej się w krakowskim wydawnictwie Universitas; przewodniczy komitetowi redakcyjnemu serii „Historia Literatury Pogranicza". Jest wiceprezesem Międzynarodowego Stowarzyszenia Studiów Polonistycznych, członkinią Rady Uczelni i członkinią Senatu Uniwersytetu Zielonogórskiego. Zajmuje się teorią literatury i poezją współczesną, specjalizuje się w twórczości Zbigniewa Herberta i w regionalizmie literackim. Opracowała „Wybór poezji" Z. Herberta w serii Biblioteka Narodowa. Ostatnio wydała „Ramiona Antajosa. Z teorii i historii regionalizmu literackiego w Polsce".

Viadriny, z uczelni poznańskich, szczecińskich i warszawskich, z Lublina i Krakowa.

– Jak się przedstawia działalność wydawnicza LTN, mam na myśli nie tylko książki, ale i czasopisma?
– Od 1959 roku wychodzi flagowy „Rocznik Lubuski". To periodyk o profilu społecznym, zawierający publikacje z zakresu socjologii, pedagogiki i politologii oraz humanistyki. Dotąd ukazały się 42 numery tego czasopisma, niektóre w dwóch tomach. Za opublikowanie tekstu w „Roczniku" autor może otrzymać 40 punktów, co przekłada się na wyniki naukowe. Za opublikowanie materiału naukowego w wspomnianym kwartalniku „International Journal of Applied Mathematics and Computer Science" można dostać 100 punktów. Punkty decydują dzisiaj o randze czasopisma. Ponadto wydajemy pozycje książkowe, na przykład po każdej konferencji na temat transgraniczności w perspektywie socjologicznej ukazywały się publikacje zawierające materiały pokonferencyjne. Podobnie będziemy upowszechniać wyniki badań prowadzonych w ramach zintegrowanych studiów nad Ziemią Lubuską.

– Z samych składek członkowskich stowarzyszenie by się nie utrzymało. Kto je wspiera finansowo?
– Muszę przyznać, że mamy problem z finansami. Opłaty ze składek idą głównie na obsługę biura rachunkowego, dlatego musieliśmy je podnieść. Na niektóre zadania otrzymujemy dofinansowanie w formie grantów celowych, ich źródłem było niegdyś ministerstwo, obecnie możemy liczyć na dofinansowanie ze strony Urzędu Miasta Zielona Góra i Urzędu Marszałkowskiego. Obie te instytucje wsparły nas przy organizacji Jubileuszu LTN-u, który odbył się w ubiegłym roku, Urząd Miasta dofinansował ponadto dwie konferencje z cyklu „Region w dialogu" – to dla nas bardzo ważne wsparcie!

– Czy bez LTN Zielona Góra stałaby się miastem akademickim/uniwersyteckim?
– Jestem przekonana, że bez LTN z początków swojej działalności Zielona Góra nie byłaby miastem akademickim. Czy miasto przyciągałoby ludzi nauki z innych ośrodków akademickich? Czy WSI zostałaby podniesiona do rangi politechniki? Decyzja w sprawie powstania Wyższej Szkoły Pedagogicznej zapadła w Warszawie, ale argumenty do jej utworzenia zostały zebrane w Zielonej Górze. LTN było tym miejscem, gdzie spotykali się kandydaci na doktorów, gdzie odbywały się seminaria i dyskusje z udziałem wybitnych naukowców z całego kraju, gdzie padały propozycje podjęcia tematów badawczych, ważnych dla regionu i nauki. Stowarzyszenie publikowało prace miejscowych naukowców i osób piszących o Ziemi Lubuskiej, rozpowszechniało je w kraju i za granicą. A utworzenie Uniwersytetu Zielonogórskiego w 2001 roku było już tylko naturalną konsekwencją działań podejmowanych od początku lat sześćdziesiątych.

– Czy w Zielonej Górze istnieje zintegrowane środowisko naukowe? Że są profesorowie tytularni, doktorzy i doktorzy habilitowani, nie mam wątpliwości. Chodzi mi o środowisko, które coś łączy, ma jakiś wspólny cel, służy miastu i regionowi?
– Myślę, że LTN jest właśnie taką platformą, która łączy tutejszych badaczy. Większość członków LTN to osoby związane etatowo z Uniwersytetem Zielonogórskim. Jako pracownicy uczelni mają swoje zadania i w pierwszej kolejności starają się je wykonywać jak najlepiej, trudno zresztą oddzielić to, czym się zajmują jako pracownicy uniwersytetu, od tego, co robią jako członkowie towarzystwa. Zawsze jednak chodzi o to samo: rozwijanie badań naukowych, zdobywanie wiedzy, jej rozpowszechnianie i promowanie. A wszystko to służy zarówno rozwojowi nauki, jak i regionu. Ważne jest to, że pomimo różnic wynikających z uprawiania różnych dziedzin badawczych, jako stowarzyszenie integrujemy środowisko poprzez wspólnie podejmowane przedsięwzięcia, takie jak konferencje, sympozja, wykłady otwarte, spotkania popularnonaukowe, publikacje.

– Czy władze regionu i miast lubuskich korzystają z tego, że na miejscu są pracownicy nauki?
– Na oczekiwania władz województwa i miast stara się odpowiadać uniwersytet. Do nas jako stowarzyszenia na razie nie zwracano się z propozycją wykonania jakiegoś konkretnego

zadania. Niemniej korzyści z działalności LTN i jego wpływ na środowisko jest oczywisty. Nasza działalność wzbogaca i upowszechnia wiedzę o regionie, przyczynia się do wielokierunkowego rozwoju miasta i województwa. Staramy się też współpracować z rożnymi instytucjami działającymi na naszym terenie, między innymi z Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, z Wojewódzką i Miejską Biblioteką Publiczną im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, Archiwum Państwowym w Zielonej Górze, Muzeum Etnograficznym w Zielonej Górze – Ochli. Podam tylko dwa przykłady z ostatnich dni: współpracę z Biblioteką Norwida przy organizacji kolejnej ogólnopolskiej konferencji z cyklu „Miasto starsze niż prasa", współorganizację Bukowińskiego Festiwalu Nauki.

– Lubuskie Towarzystwo Kultury, które istniało 35 lat, ma monografię pióra dr Izabeli Korniluk. LTN skończyło 60 lat i istnieje nadal. Dlaczego nie doczekało się spisanej historii?
– Na temat LTN-u jest praca magisterska napisana na uniwersytecie w Poznaniu, ale nie obejmuje całego okresu istnienia towarzystwa. Niedawno pojawiła się próba napisania monografii. Powstały nawet pierwsze rozdziały. Okazało się, że wykonanie monografii stowarzyszenia, które ma za sobą ponad 60 lat działalności nie jest łatwe, mimo że zachowały się sprawozdania i fotografie. Oprócz dokumentów archiwalnych są artykuły w prasie. Żyją ludzie, którzy byli obecni przy narodzinach naszego stowarzyszenia. Czy to wystarczy do napisania historii LTN? Sądzę, że autor monografii powinien zrobić kwerendę w Instytucie Zachodnim w Poznaniu, który w tamtym czasie pełnił rolę patrona działań naukowych podejmowanych w Zielonej Górze. Monografia LTN to jedno z tych zadań, które należy pilnie wykonać. Jest i drugie: napisanie monografii zasłużonego dla kultury regionu czasopisma „Nadodrze".

– Jakie miejsce zajmuje Zielona Góra w nauce polskiej?
– Istnieją państwowe systemy oceny uczelni. Podczas ostatniej oceny ministerialnej 10 dyscyplin naukowych uprawianych na Uniwersytecie Zielonogórskim otrzymało kategorię A, najwyższą, między innymi astronomia, automatyka, elektronika i robotyka, pedagogika, nauki o polityce i administracji, także językoznawstwo i literaturoznawstwo. Kategorię B+ komisja przyznała 13 dyscyplinom, wśród nich historii, filozofii, matematyce, naukom biologicznym i medycznym, inżynierii lądowej. Oceniając, komisja brała pod uwagę osiągnięcia pracowników uniwersytetu reprezentujących dyscypliny naukowe. W ostatnim rankingu szkół wyższych prowadzonym przez Perspektywy polonistyka zielonogórska znalazła się na czwartym miejscu w Polsce, pedagogika na piątym, filologia angielska na szóstym, elektrotechnika na dwunastym, ratownictwo medyczne na dwunastym. Badacze z Zielonej Góry są członkami ogólnopolskich gremiów naukowych, z wystąpieniami są zapraszani na konferencje, uczestniczą w naprawdę ważnych sympozjach, publikują w prestiżowych czasopismach, są cytowani. To mówi samo za siebie, a ja jestem dumna z tego, że mieszkam i pracuję w Zielonej Górze.

– Dziękuję za rozmowę.

Alfred Siatecki

Ryszard Zaradny

Jak walczono z analfabetyzmem

7 kwietnia 1949 roku uchwalono Ustawę o likwidacji analfabetyzmu, „spuścizny rządów burżuazji i obszarnictwa oraz zapory na drodze Polski Ludowej do pełnego rozwoju gospodarczego i kulturalnego Narodu". Nakładała obowiązek nauki analfabetom w wieku od 14 do 50 lat.

W wyniku rejestracji przeprowadzonych do 1 grudnia 1951 r. w województwie zielonogórskim odnotowano 28 052 analfabetów i półanalfabetów, z czego do obowiązkowej nauki zakwalifikowano 23 081, w tym zwolnionych z powodu podeszłego wieku 5952, z innych powodów 2083. Do tego czasu naukę początkową ukończyło 17 261 osób, w tym 13 730 mieszkańców wsi i 3531 mieszkańców miast oraz w podziale na płeć – 8687 mężczyzn i 8574 kobiet.

Na początku lat 50. zarejestrowanych w Zielonej Górze było jeszcze 432 analfabetów. Nauczaniem na kursach objętych było 234, nauczaniem indywidualnym 92, a zwolnionych z nauczania 106 (przede wszystkim z racji wieku). Kurs nauczania początkowego ukończyło 231 osób. W połowie listopada 1950 r. odnotowano 306 niepiśmiennych, w tym 287 analfabetów i 19 półanalfabetów. 19 z nich zwolniono z kursu ze względu na choroby lub wiek. W grupie tej było 147 mężczyzn i 159 kobiet. Wymowna jest też statystyka w grupach wiekowych, a mianowicie urodzonych do 1898 r. było 97, w przedziale 1899-1918 – 140, a w przedziale 1919-1930 tylko 59. Wśród najmłodszych urodzonych pomiędzy 1931 a 1934 było 10.

W instrukcji dotyczącej organizacji i przeprowadzenia akcji w roku szkolonym 1948/49 zaznaczono, że wymiar godzin i rozkład tygodniowy zajęć winien być dostosowany do warunków i możliwości życiowych kandydatów. Kurs można było ukończyć przy 12 godzinach tygodniowo w okresie od 1 listopada do 31 marca bądź w ciągu 10 miesięcy przy sześciu godzinach tygodniowo albo też przy sześciu godzinach tygodniowo w ciągu pięciu miesięcy w dwóch okresach jesienno-zimowych (kolejno dwa lata szkolne).

Wydano zalecenia, aby dla uczestników i absolwentów organizować imprezy artystyczne, podczas których należało wręczać świadectwa ukończenia kursu. Zobligowano instytucje państwowe do podejmowania zobowiązań z okazji 33 rocznicy rewolucji październikowej i II Kongresu Obrońców Pokoju. Od 22 do 29 października zorganizowano Tydzień Walki z Analfabetyzmem, podczas którego dokonywano dodatkowej rejestracji niepiśmiennych. Nastręczały komisjom wiele trudności, gdyż poza listą znajdowali się przeważnie ludzie, których niełatwo było skłonić nie tylko do uczenia się, lecz nawet do przyznania, że są analfabetami. Dlatego władze zleciły różnym organom obowiązek informowania o ujawnionych analfabetach bez ich wiedzy. W ten sposób urzędnicy ubezpieczalni, poczt i innych instytucji

zwracali uwagę, jak się kto podpisuje i następnie nadsyłali do komisji społecznych wykazy osób niepiśmiennych.

Aby zachęcić do nauki jak najwięcej analfabetów, oferowano im szereg udogodnień, które miały ułatwić uczestniczenie w kursach. Komisje oświatowe zostały zobowiązane między innymi do porozumiewania się z dyrekcjami zakładów pracy lub radami zakładowymi w sprawie przesuwania analfabetów na zmiany niekolidujące z godzinami kursów, uzgadniania z pracodawcami wcześniejszego zwalniania uczących się z pracy bez potrącania z pensji, udzielania specjalnych zapomóg z funduszów społecznych i samorządowych, przejmowania opieki nad dziećmi analfabetów, umożliwiania badań lekarskich (zwłaszcza okulistycznych), organizowania pomocy w gospodarstwach rolnych osób niepiśmiennych, zapewnienia dożywiania, zwłaszcza w przedsiębiorstwach, gdzie nauka odbywa się zaraz po zakończeniu pracy.

Jeszcze w 1960 r. ponad 600 tys. Polaków nie umiało pisać. W latach osiemdziesiątych wskaźnik analfabetyzmu wynosił 2 proc.

Na bieżąco kontrolowano kursy oraz działalność organów społecznych do walki z analfabetyzmem. W comiesięcznych wizytacjach, w których uczestniczyli instruktorzy pedagogiczni, specjalnie powołani podinspektorzy do walki z analfabetyzmem oraz członkowie komisji społecznych z udziałem delegata pełnomocnika rządu.

Oficjalne zakończenie akcji zwalczania analfabetyzmu kilkukrotnie przekładano. Pierwotnie miało ono nastąpić 1 maja 1951 r., następnie 22 lipca, potem 7 listopada – w 34. rocznicę rewolucji październikowej. Ostatecznie wyznaczono je na 21 grudnia – dzień urodzin Józefa Stalina. W podsumowaniu akcji pełnomocnik rządu złożył sprawozdanie na posiedzeniu Głównej Komisji Społecznej do Walki z Analfabetyzmem, a następnie 5 lutego 1952 r. na posiedzeniu Prezydium Rządu. Stwierdził, iż analfabetyzm jako masowe zjawisko został zlikwidowane, choć przyznał jednocześnie, że w dalszym ciągu jest spora liczba analfabetów i półanalfabetów w wieku powyżej 50 lat i około 200 tys. w wieku od 40 do 50 lat. Dlatego 15 lutego 1952 r. wprowadzono nową ustawę dotyczącą organizacji nauczania początkowego dorosłych, zgodnie z którą zniesiono m.in. urząd rządowego pełnomocnika ds. zwalczania analfabetyzmu oraz komisje społeczne, uchylono również szereg innych przepisów z ustawy o likwidacji analfabetyzmu.

W 1953 r. zarejestrowanych było nadal 90 analfabetów. Objęci oni byli nauczaniem na kursach zamkniętych, tzn. młodzież szkolna chodziła do ich domów „w celu prowadzenia nauczania". Osoby te jednak niechętnie podchodziły do nauki i „nieraz przed młodzieżą zamykają drzwi". Wydział Oświaty wszedł w porozumienie z Biurem Wydawania Dowodów Osobistych, które w razie stwierdzenia analfabetyzmu przekazywało jej dane do wydziału. Na koniec 1953 r. zarejestrowanych było w Zielonej Górze 80 analfabetów, a więc w przeciągu roku nauczono czytać i pisać zaledwie 10 osób. Na te trudności nakładały się jeszcze problemy z dokształcaniem dorosłych. Tylko w największych zakładach zarejestrowano 832 pracowników, zarówno fizycznych jak i umysłowych, niemających pełnego podstawowego wykształcenia. W szkołach dla pracujących uzupełniało wykształcenie podstawowe 189 osób i 83 w trybie eksternistycznym. Taki rozwój sprawił, że nie zdołano w pełni zapobiec narastaniu zjawiska analfabetyzmu wtórnego.

W 1960 r. przeprowadzono kolejny spis powszechny, który wskazywał, że brak umiejętności czytania i pisania dotyczył ponad 600 tys. ludności, zaś półanalfabetów było około 270 tys. Jeszcze w latach 80. wskaźnik analfabetyzmu wynosił 2 proc. Dziś stanowi zjawisko marginalne, choć stajemy w obliczu innego problemu: analfabetyzmu funkcjonalnego, w tym cyfrowego, który przyczynia się do wielu rodzajów wykluczeń. Analfabetyzm funkcjonalny to m.in. brak zrozumienia komunikatów (mimo umiejętności czytania) czy nieradzenie sobie z załatwianiem codziennych spraw, np. administracyjnych.

Na skwerze przed zielonogórskim dworcem PKP niedługo stał pomnik z napisem: „W dniu 1 maja 1951 roku Województwo Zielonogórskie zlikwidowało analfabetyzm – haniebną spuściznę kapitalizmu" *fot. Archiwum*

Lekarstwo na niski poziom kształcenia ciał pedagogicznych

Przed rokiem szkolnym 1966/67 w zielonogórskich podstawówkach zatrudnionych było 339 nauczycieli. Wykształcenie średnie miało 141, Studium Nauczycielskie – 176 i 22 wyższe (jednocześnie 70 nauczycieli dokształcało się). Sytuacja w liceach była korzystniejsza, bowiem na 75 nauczycieli 57 posiadało wykształcenie wyższe.

Pod koniec 1948 roku istniał już w Zielonej Górze dość rozbudowany – relatywnie do wielkości miasta – system szkolnictwa. Według sprawozdania Zarządu Miejskiego funkcjonowało sześć szkół podstawowych, w tym Szkoła Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcące, Gimnazjum i Liceum dla Dorosłych, Gimnazjum i Liceum Handlowe, Gimnazjum Krawiecko-Bieliźniarskie, Publiczna Średnia Szkoła Zawodowa, jedyne w Polsce Państwowe Gimnazjum Winiarsko-Sadownicze, dwie szkoły przysposobienia przemysłowego, Szkoła Przemysłowa Zaodrzańskich Zakładów Budowy Mostów i Wagonów oraz szkoła muzyczna i dwa przedszkola.

W roku szkolnym 1950/51 zielonogórska oświata borykała się nadal z poważnymi trudnościami dydaktycznymi. Do szkół uczęszczało 2726 uczniów, z których aż 21 proc. na pierwsze półrocze otrzymało oceny niedostateczne, a w drugim 15 proc.. Na 61 etatów w szkolnictwie obsadzonych było tylko 45. W związku z tym zorganizowano 10-dniowy kurs dla absolwentów klas siódmych, uzyskując w ten sposób 10 niewykwalifikowanych nauczycieli i dzięki temu w drugim półroczu zatrudnionych było już 59 nauczycieli. Na początku lat 50. w wybranych liceach ogólnokształcących organizowano kursy pedagogiczne.

Kluczowym dla poprawienia sytuacji kadrowej w oświacie miejskiej był problem mieszkań dla nauczycieli. Ich drastyczny brak uniemożliwiał pozyskanie nowych nauczycieli z terenów ościennych. Rozwiązaniem tego problemu zajęły się władze wojewódzkie i miejskie dopiero w latach 1958 i 1959. Podjęto uchwałę o pierwszeństwie przydziału mieszkań z nowego budownictwa, przydzielania mieszkań opuszczonych przez nauczycieli tylko innym nauczycielom.

Poziom kształcenia młodzieży nadal pozostawiał wiele do życzenia. W 1953/54 r. do zielonogórskich szkół uczęszczało 5481 młodzieży, w tym do sześciu szkół podstawowych 3198 uczniów, do szkół licealnych – 1058 i do szkół zawodowych – 1225. Spośród nich promocji do następnej klasy nie otrzymało (nie licząc zdających jeszcze egzaminy poprawkowe) w szkołach podstawowych około 10 proc., w liceach ogólnokształcących – 11, w Liceum Pedagogicznym – 7 i w szkołach zawodowych – 13. W klasach młodszych szkół podstawowych nie promowano około 7 proc., a w klasach starszych aż około 18 proc. Na pierwsze półrocze w LO nr 1 w 1961/62 r. tylko 41 proc. uczniów było bez ocen niedostatecznych, w LO nr 2 – 59,4, w LO nr 3 – 58,5.

Jedną z dróg wyjścia było powołanie Państwowego Liceum Pedagogicznego, co nastąpiło 1 września 1951 r. Nie była to od razu samodzielna szkoła. Oddział klasy pierwszej zorganizowano przy Szkole Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącym TPD. Obowiązki dyrektora szkoły w tym i rozwojowego Liceum Pedagogicznego objął Mikołaj Płaksa, a wychowawstwo i opiekę nad klasą powierzono Marii Krzyżanowskiej. Od 1 lutego l953 r. stanowisko dyrektora LO i LP powierzono Bazylemu Lewczukowi, a od 1 września LP kierował Julian Świątkowski. W pierwszym roku nauczania przyjęto 46 uczniów, z których po czteroletniej nauce ukończyło 20. W latach następnych sprawność kształcenia wynosiła 70-80 proc. Ogółem w okresie istnienia LP do 1968 r. ukończyło je prawie 500 absolwentów. Decydujący wpływ na jego stopniową likwidację miało powołanie Studium Nauczycielskiego.

Podejmowane działania przynosiły efekty. Przed 1966/67 r. w szkołach podstawowych zatrudnionych było 339 nauczycieli, w tym z wykształceniem średnim 141, po SN – 176 i 22 z wyższym (jednocześnie 70 nauczycieli dokształcało się). Sytuacja w LO pod względem kadrowym była korzystniejsza, bowiem na 75 nauczycieli 57 posiadało wykształcenie wyższe.

18 maja 1954 r. prezydium rządu podjęło uchwałę w sprawie ulepszenia systemu kształcenia nauczycieli szkół podstawowych i średnich. Zdecydowano, że dwuletnie studium nauczycielskie i trzyletnie zaoczne studium nauczycielskie będą przygotowywać kandydatów na nauczycieli klas V-VII szkół podstawowych. Przygotowywanie kadry pedagogicznej dla klas VIII–XI zalecono uniwersytetom, akademiom, czteroletnim wyższym szkołom pedagogicznym i ich pięcioletnim wydziałom zaocznym.

RZ

fot. Archiwum

W 1951 roku przy Szkole Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącym TPD przy ul. Wazów 44 (obecnie Centrum Kształcenia Zawodowego i Ustawicznego „Medyk") utworzono Państwowe Liceum Pedagogiczne. Liceum cztery lata później miało wpływ na poprawę sytuacji kadrowej w zielonogórskiej oświacie

Ryszard Zaradny

Regionalna kuźnia kadr nauczycielskich

Minister Oświaty rozporządzeniem z 30 maja 1957 roku powołał Studium Nauczycielskie w Zielonej Górze, które miało rozpocząć działalność od 1 września. Jednak ze względów organizacyjnych zajęcia rozpoczęły się 4 listopada. Studium ukończyło 3875 osób.

Organizację SN powierzono Ludwikowi Kończalowi, wiceprzewodniczącemu Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego. Obowiązki te pełnił do dnia śmierci, która nastąpiła 22 kwietnia 1968 r. Po nim funkcję tę objął dr Henryk Pochanke.

Przyjęcie kandydatów na pierwszy rok dziennych studiów odbywało się w oparciu o świadectwa dojrzałości liceum ogólnokształcącego lub liceum pedagogicznego, bądź świadectwa ukończenia liceum wychowawczyń przedszkoli. Absolwenci średnich szkół nauczycielskich musieli ponadto uzyskać odroczenie nakazu pracy. Na trzyletnich zaocznych studiach nauczycielskich mogli podwyższać swoje wykształcenie czynni, wykwalifikowani nauczyciele szkół podstawowych, wychowawczynie przedszkoli i pracownicy pedagogiczni placówek opiekuńczo-wychowawczych.

Organizatorem i pierwszym dyrektorem SN był Ludwik Kończal (1907-1968)

W zaocznym Studium Nauczycielskim prowadzono grupy specjalizacyjne w zakresie języka polskiego, matematyki, fizyki, prac ręcznych i rysunków. Nauka w SN trwała trzy lata. Studiujący korzystali z bezpłatnych przejazdów na konsultacje, sesje egzaminacyjne, otrzymywali semestralne przydziały pracy z poszczególnych przedmiotów nauczania, wykaz lektur i tematykę prac kontrolnych. W okresie ferii zimowych i w lipcu uczestniczyli w wykładach i seminariach organizowanych przez SN. Ukończenie studium uprawniało do nauczania wybranego przedmiotu, wyższego uposażenia i szybszego awansu oraz dalszych studiów na wyższej uczelni.

Od początku istnienia SN przygotowywało nauczycieli szkół podstawowych w zakresie języka polskiego, fizyki z chemią, matematyki, zajęć praktyczno-technicznych z wychowaniem plastycznym, a od 1963 także nauczycieli języka rosyjskiego. Pierwszy rok pracy SN nastręczał poważne trudności natury organizacyjnej i dydaktycznej. Brakowało podręczników do programów, wykładowcy byli zmuszeni do opracowywania bardzo szczegółowych i obszernych przydziałów pracy. Dopiero organizowano od podstaw bibliotekę SN. Pracę utrudniał także brak pomieszczeń do zakwaterowania i wyżywienia studentów w czasie konsultacji i sesji.

W 1960 r. wprowadzono na wszystkich pierwszych latach zagadnienia społeczno-polityczne. Dokonano też zasadniczej zmiany organizacyjnej, a mianowicie scalono wydział zaoczny ze stacjonarnym. Dyrektorem został L. Kończal, a Henryk Korwel objął funkcję zastępcy dyrektora, opiekując się równocześnie wydziałem zaocznym. W 1961 r. z powodu objęcia przez H. Korwela funkcji kuratora Okręgu Szkolnego w Zielonej Górze obowiązki zastępcy dyrektora i opiekę nad wydziałem zaocznym powierzono Zygmuntowi Zadwornemu. Nastąpiły też zmiany organizacyjne związane z wprowadzeniem nowej siatki godzin. Zniesiono takie przedmioty, jak: higiena szkolna, metodyka nauczania początkowego (włączono do pedagogiki), kultura żywego słowa na wszystkich kierunkach, oprócz filologii polskiej. Zorganizowano przy SN grupę wieczorową kierunku metodyki nauczania początkowego i pracy ręcznej oraz roczne studium pedagogiczne dla nauczycieli zawodu.

Wcześniej, w celu podniesienia poziomu pracy wychowawczej przedszkoli oraz przeciwdziałania odpływowi wychowawczyń do innych regionów, gdzie były zorganizowane przy SN kierunki wychowania przedszkolnego, w roku 1958/1959 utworzono oddział specjalności wychowania przedszkolnego.

Zmiany organizacyjne i programowe w studiach zaocznych nastąpiły w roku 1962/63. Dotychczasowe trzyletnie studia zostały skrócone do dwuletnich z dodatkową sesją letnią na czwartym semestrze. Ułatwiony został dostęp do zaocznych studiów przez zniesienie egzaminów wstępnych. Pomimo nie posiadania bazy materialnej i stałej kadry specjalistów narzucono utworzenie nowych kierunków, jak: filologię rosyjską, historię z językiem rosyjskim, historię z geografią i w 1963/64 kierunek mechaniczny z obróbką metali.

15 lipca 1961 r. sejm uchwalił Ustawę o rozwoju systemu oświaty i wychowania. Przygotowania do reformy szkolnej zmierzającej do wprowadzenia ośmioletniej szkoły podstawowej jednoznacznie rozstrzygnęły kwestię SN. Im przypadła zasadnicza rola przygotowania kadry nauczycieli. Po wejściu w życie założeń ustawy wydano rozporządzenie w sprawie kwalifikacji nauczycieli i wychowawców. Na jego podstawie kwalifikacje naukowo-pedagogiczne do nauczania w szkołach podstawowych posiadała osoba, która ukończyła: 1) studia wyższe magisterskie bądź zawodowe ze specjalizacją nauczycielską lub bez niej, ale miała ukończone studium pedagogiczne lub kurs pedagogiczny, 2) studium nauczycielskie, 3) liceum pedagogiczne. Uprawnienia takie posiadała

również osoba, która ukończyła szkołę średnią ogólnokształcącą lub zawodową i kurs pedagogiczny oraz zdobyła uprawnienia do nauczania w liceach ogólnokształcących lub szkołach zawodowych, jeśli przedmiot nauczania znajdował się w planie nauczania szkoły podstawowej.

Istotnym elementem tworzenia SN była organizacja poszczególnych kierunków studiów. Organizatorem wydziału filologii polskiej i jej kierownikiem został Leonard Mirecki, który wykładał gramatykę języka polskiego i wiedzę o książce. Literaturę polską i teorię literatury wykładał Julian Dobosz. Pracownikami kontraktowymi byli aktor Zdzisław Giżejewski, prowadzący zajęcia z kultury żywego słowa nauczyciel LO nr 1 oraz Stanisław Kaliński nauczający łaciny. Jako etatowi nauczyciele pracowali: Jerzy Brzeziński (literatura), Eleonora Engel (teoria literatury i wiedza o książce) oraz Halina Parzych (metodyka nauczania języka polskiego i kultura żywego słowa). Na studiach zaocznych zespół polonistów uzupełniali: dr Stanisław Kania (metodyka nauczania polskiego i gramatyka języka polskiego na wydziale filologii rosyjskiej) oraz Krystyna Wołuń (literatura i kierowanie biblioteką SN). Do wykładowców należeli także dr Alicja Suchan i Jan Dembiński. Na wydziale zaocznym okresowo pracowali Stanisław Dzieran, Jerzy Oleksiński i Wojciech Pasterniak.

Organizatorem i kierownikiem wydziału matematyki był Ludwik Cendrowski. Zajęcia z metodyki nauczania matematyki prowadziła Zofia Suracka, nauczycielka Liceum Pedagogicznego w Nowej Soli. W kwietniu 1964 r. L. Cendrowski odszedł na urlop doktorancki, w związku z czym obowiązki kierownika wydziału objął Tadeusz Jóźwiak, a po nim Mieczysław Florczyk. Od 1 września 1964 r. rozpoczęli pracę jako wykładowcy Janusz Pilarczyk i z LO nr 21 w Zielonej Górze Mirosław Arczyński.

Wydział fizyki zorganizował Mieczysław Mierzyński, który był m.in. dyrektorem Liceum Ogólnokształcącego i Szkoły Podstawowej w Gubinie od 1945 r. Kadrę wykładowców uzupełniali: Piotr Chocianowski, M. Florczyk, Karol Bemben i Stefan Szuba.

Zajęcia z chemii prowadziła Genowefa Niedobylska. Do 1963 r. pracował Wacław Szymański. W 1963 r. cennym nabytkiem był Jan Kąkolewski, przeniesiony ze stanowiska dyrektora Liceum Wychowawczyń Przedszkoli w Sulechowie.

Kształcenie na wydziale zajęć praktyczno-technicznych (wówczas kierunku rysunek i praca ręczna) zorganizował Henryk Pochanke. Jako pierwsi wykładowcy zostali zatrudnieni: Stanisław Czarkowski, Julia Czejgis i H. Pochanke – na pełnych etatach oraz Stefan Iwanaszko i Alojzy Rosolak – w niepełnym wymiarze godzin (rok później pełne etaty).

Na I rok studiów dziennych przyjęto w wyniku egzaminu wstępnego 120 osób, ale naukę rozpoczęło 101 studentek i studentów, a mianowicie: na filologii polskiej – 32, na matematyce – 14, na fizyce – 20, na rysunku – 15 i na pracy ręcznej – 20. Na studiach zaocznych rozpoczęło naukę 238 osób na 257 przyjętych. Najwięcej przyjęto na filologię polską i prace ręczne – po 80 osób. W następnych latach ilość słuchaczy zwiększała się, a tym samym narastały problemy, przede wszystkim lokalowe i kadrowe. Przykładowo na studiach zaocznych na sesjach było 678 studentów (1962 r.), 702 studentów (1963 r.), 816 studentów (1966 r.). Kadra pedagogiczna była za mała, dlatego powiększano ją dochodzącymi nauczycielami.

Dążąc do zmniejszenia odpadu słuchaczy, w 1966/67 r. zorganizowano punkt konsultacyjny w Gorzowie dla studentów I roku fizyki z matematyką i matematyki z fizyką. Zajęcia odbywały się dwa razy w miesiącu. Kierownikiem punktu był dyrektor LO w Gorzowie Czesław Juś.

Zielonogórskie SN w latach 1959-1971 ukończyło 1779 osób na studiach dziennych i 2096 na studiach zaocznych. Przynosiło to poprawę poziomu przygotowania merytorycznego. Potwierdzają to statystyki. W 1973 r. w Zielonej Górze zatrudnionych było w 17 szkołach podstawowych 498 nauczycieli. Wykształcenie wyższe magisterskie posiadało tylko 46, wyższe zawodowe – 4, SN – 351, średnie pedagogiczne – 97.

5 czerwca 1959 r. sekretariat Komitetu Centralnego Związku Młodzieży Socjalistycznej w porozumieniu z władzami wojewódzkimi postanowił zbudować szkołę w Zielonej Górze. Miało to być Studium Nauczycielskie. ZMS zadeklarował zebranie wśród swoich członków 8 mln zł oraz uczestniczenie w pracach przy wznoszeniu gmachu. Resztę pieniędzy miały stanowić fundusze zebrane przez społeczeństwo w ramach świadczeń na Społeczny Fundusz Budowy Szkół. Budynki przy ul. Podgórnej zostały zaprojektowane dla 480 studentów polonistyki, historii i muzyki. Pozostałe kierunki miały się mieścić w dotychczasowych gmachach przy pl. Słowiańskim. Szkoła miała być gotowa w 1963 r., ale budowę zakończono grudniu 1964 r. (bez auli i zagospodarowania terenu, a także niektórych podłączeń komunalnych).

2 grudnia 1964 r. kompleks budynków uczelnianych został przekazany władzom wojewódzkim. Do chwili całkowitego zakończenia budowy i decyzji w sprawie powołania wyższej uczelni był on użytkowany przez SN. Władze miały już gotową koncepcję tworzenia w Zielonej Górze Wyższej Szkoły Inżynierskiej. Publicznie zgłosił to przewodniczący zielonogórskiego ZMS Bronisław Ratuś na zjeździe organizacji w Warszawie. W oficjalnym wystąpieniu o utworzenie WSI mocno akcentowano głęboki deficyt kadr z wyższym wykształceniem technicznym w województwie zielonogórskim. Kuratorium Okręgu Szkolnego nadzorowało działalność domów studenta istniejących przy SN. W trzech domach mieszkało w roku 1968/69 288 słuchaczy. Rada Uczelniana Zrzeszenia Studentów Polskich wydawała periodyk „Ogryzki". Poruszano w nim sprawy studenckie, dotyczące przyszłego zawodu, praktyki wakacyjne itp. Istniał także kącik literacki, w którym publikowano wiersze Henryka Klejnowskiego. Szatę graficzną zapewniali K. Bagiński, Ryszard Westfalewicz i Leopold Kolbierz. Redaktorem naczelnym był Józef Baśladyński.

W 1969 r. rząd zapowiedział powołanie wyższych szkół nauczycielskich. W projekcie nie było uczelni w Zielonej Górze. Dopiero w 1970 r. władze wojewódzkie rozpoczęły zabiegi o powołanie WSN. Nieco więcej światła na proces powoływania uczelni przekazał Hieronim Szczegóła – jej organizator – stwierdzając: „Zajęte walkami wewnątrzpartyjnymi w 1968 i 1969 r. wojewódzkie władze partyjne nie miały czasu ani pomysłów, aby się włączyć do planowanej reorganizacji szkolnictwa w tamtych latach. Na początku 1969 r. dotychczasowego I sekretarza KW PZPR Tadeusza Wieczorka zastąpił Mieczysław Hebda z Krakowa i upłynęło sporo czasu, zanim zyskał poparcie władz postulat utworzenia w Zielonej Górze.

Aldona Reich

Najpierw powstała wyższa szkoła techniczna

Śmiało można powiedzieć, że zielonogórska Wyższa Szkoła Inżynierska przeżyła w ciągu niespełna 40 lat jeden z najszybszych awansów w świecie uczelni wyższych. Powstała w 1965 roku, gdy postanowiono o utworzeniu pierwszej wyższej szkoły technicznej na Środkowym Nadodrzu. Status politechniki uzyskała w 1996 r., a zaledwie pięć lat później – wraz z Wyższą Szkołą Pedagogiczną – została przekształcona w uniwersytet.

A wszystko zaczęło się od… wezwania Wiesława Gomułki, aby wybudować 1000 szkół na tysiąclecie Polski. Było ono na tyle skuteczne, że w 1958 r. Komitet Centralny Związku Młodzieży Socjalistycznej postanowił zebrać pieniądze na budowę obiektów przeznaczonych na potrzeby Studium Nauczycielskiego, które mieściło się przy placu Słowiańskim w Zielonej Górze. Imponująca kwota 8 mln zł pozwoliła na wybudowanie obiektów przy ul. Podgórnej.

Już 21 lipca 1961 r. położono kamień węgielny, a wydarzenie to zbiegło się z wizytą w Zielonej Górze słynnego Jurija Gagarina, radzieckiego kosmonauty, który w ramach (wówczas jeszcze tego tak nie nazywano) wycieczek promocyjnych

Widokówka wydana przez Krajową Agencję Wydawniczą w 1969 r.

dotarł także do Winnego Grodu. 22 lipca 1961 r. mieszkańcy miasta tłumnie witali kosmonautę jak prawdziwą – nomen omen – gwiazdę (wizyta Gagarina wpłynęła także na wybór nazwy kina Wenus). Skorzystano z nadarzającej się okazji i astronauta podpisał się na kopii aktu erekcyjnego.

Opracowanie projektu budynków powierzono zespołowi z warszawskiej Samodzielnej Pracowni Architektoniczno-Budowlanej „Blok" pod kierownictwem Witolda Piaseckiego. W ciągu czterech lat wybudowano zespół o łącznej kubaturze 37 tys. m sześc., na którą składały się: aula, blok dydaktyczny, stołówka, sala gimnastyczna i internat na 240 osób. Podczas przekazania obiektów 2 grudnia 1964 r. nie wspominano już jednak o Studium Nauczycielskim, mimo iż w nowym internacie zamieszkali jego studenci. Władze wojewódzkie miały już bowiem gotową koncepcję utworzenia w Zielonej Górze Wyższej Szkoły Inżynierskiej – jak wspomniano – pierwszej wyższej szkoły technicznej w regionie Środkowego Nadodrza. Koncepcja zmiany padła podczas III Zjazdu Związku Młodzieży Socjalistycznej (Warszawa, 17-19 grudnia 1964), a zgłosił ją Bronisław Ratuś, ówczesny szef zielonogórskiego ZMS i późniejszy profesor i długoletni nauczyciel WSI oraz WSP w Zielonej Górze.

Propozycja B. Ratusia o utworzeniu uczelni technicznej w ówczesnym systemie musiała uzyskać aprobatę władz politycznych i na szczęście została przez KC ZMS poparta, dzięki czemu wniosek przeszedł dalej bez specjalnych przeszkód. Akcentowano w nim głęboki deficyt kadr z wyższym wykształceniem technicznym w województwie zielonogórskim, ponieważ lubuski przemysł zatrudniał wówczas niespełna 1 proc. pracowników z wyższym wykształceniem, a stanowiska wymagające wyższego wykształcenia obsadzone były przez inżynierów zaledwie w połowie. Oceniano, że do 1980 r. w województwie powstanie zapotrzebowanie na ponad 7 tys. inżynierów, w tym blisko 2,5 tys. w przemyśle maszynowym i ponad 2 tys. w elektrotechnicznym.

Wstępna pozytywna decyzja władz centralnych zapadła w marcu 1965 r. i miesiąc później powołano komitet organizacyjny, który miał przygotować bazę materialną przyszłej uczelni oraz skompletować kadrę techniczną i administracyjną. W jego skład weszli mgr Stefan Boliński (SN), mgr Stanisław Dzieran (KW PZPR), mgr Bolesław Kotwicki (przyszły dyrektor administracyjny), mgr inż. Ryszard Malentowicz (Zastal) i mgr Mieczysław Stańczyk (Prezydium WRN). Później doszedł jeszcze doc. dr inż. Jerzy Kołakowski z Częstochowy

(1907-1978, absolwent Politechniki Lwowskiej), późniejszy rektor.

Komitet organizacyjny musiał w ciągu kilku miesięcy zapewnić wykonanie prac adaptacyjnych obiektów dla potrzeb uczelni technicznej. Sporego wysiłku wymagało uporządkowanie terenów uczelnianych, ponieważ obiekty powstawały w trudnych technicznie warunkach o dużym zróżnicowaniu terenu. Ogromnej pomocy udzielili wówczas mieszkańcy miasta i województwa, pracownicy lokalnych firm i przedsiębiorstw, a także przyszli studenci, którzy na apel „Gazety Zielonogórskiej" przepracowali społecznie kilka tysięcy godzin. Prace znacząco przyspieszono, gdy ukazało się rozporządzenie Rady Ministrów z 3 czerwca 1965 r. o utworzeniu Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Zielonej Górze, a następnie zarządzenie Ministra Szkolnictwa Wyższego o statusie organizacyjnym uczelni. Na mocy tych dokumentów powołano rektora, którym został wspomniany już doc. J. Kołakowski. Pierwsza w historii miasta inauguracja roku akademickiego odbyła się 25 września 1965 r.

W czerwcu 1968 r. J. Kołakowski został odwołany na skutek przeprowadzonej ministerialnej kontroli gospodarki finansowej uczelni. Obowiązki rektora przejął wówczas prorektor doc. dr inż. Kazimierz Bącal, który oficjalną nominację na rektora otrzymał 10 marca 1969 r. (do 1981 r. rektorzy nie byli wybierani na kadencje, ale powoływani przez ministra za zgodą KC PZPR). Warto wspomnieć, że w historii WSI zmiana rektora przed upływem jego kadencji miała miejsce jeszcze raz, gdy w 1976 r. odwołany został prof. dr hab. inż. Zygmunt Szafran (kadencja upływała dwa lata później).

Rok 1969 przyniósł zmianę nazwy uczelni: na mocy Rozporządzeniem Rady Ministrów z 26 września uczelnia oficjalnie otrzymała imię Jurija Gagarina. Była to inicjatywa KW PZPR podjęta przez wicepremiera Piotra Jaroszewicza, który był posłem z Ziemi Lubuskiej. Inicjatorzy tej nazwy widzieli w tym pewną szansę dla współpracy uczelni z instytutami technicznymi w ZSRR, wymianę pracowników i studentów i większy dostęp do radzieckiej myśli technicznej, jednak możliwości te nie zostały w pełni wykorzystane. Uroczyste nadanie imienia odbyło się 22 listopada 1969 r. w obecności m.in. wicepremiera polskiego rządu oraz ambasadora ZSRR. Odczytano wzruszający list od wdowy po pierwszym kosmonaucie. Kilka lat później niewątpliwą wizytówką uczelni stała się mozaika o tematyce astralnej, w stylizowany sposób przestawiająca Układ Słoneczny, w który wpisano portret Gagarina (początkowo planowano umieścić tam portret Mikołaja Kopernika, co wiązało się z przypadającymi na rok 1973 światowymi obchodami 500. rocznicy urodzin astronoma). Projekt mozaiki autorstwa Witolda Cichacza powstał w 1969 r., a jej wykonanie przy współpracy z Henrykiem Krakowiakiem trwało pięć lat. Niestety, aktualnie to ceramiczne dzieło ulega sukcesywnemu niszczeniu, cierpliwie czekając na decyzję o przeznaczeniu środków (niemałych!) na profesjonalną renowację. Co istotne, mozaika oparła się przejawom zmian ustrojowych po 1989 r., kiedy to dyskretnie skreślono z nazwy uczelni patrona i usunięto wszelkie rzeźby i tablice upamiętniające postać J. Gagarina. Ze szkodą dla uczelni, na pewno korzystne były bowiem blisko 20-letnie kontakty studentów i pracowników podczas obchodów Dnia Kosmonauty z profesorami biorącymi udział w badaniach kosmosu, jak i z samymi kosmonautami, którzy z tej okazji odwiedzali uczelnię. Przez wiele lat aktywnie działało na WSI Polskie Towarzystwo Astronautyczne oraz studenckie koło naukowe miłośników astronautyki, a wielu pracowników miało szansę na praktyki i staże w ośrodkach należących do ZSRR.

W 1976 r. funkcję rektora objął – pierwotnie z inicjatywy ministerstwa, bez wsparcia i zgody KW PZPR w Zielonej Górze, który zakładał, że nowy rektor powinien być wyłoniony ze środowiska zielonogórskiego, a jeśli spoza niego, to powinien to być profesor tytularny – Tadeusz Biliński, wcześniej pełniący funkcję prodziekana ds. studiów dla pracujących na Politechnice Poznańskiej. Niewątpliwą ciekawostką dotyczącą historii uczelni jest fakt, że nowy rektor rozpoczął swoje „urzędowanie" od dość nietypowej sprawy. Jeden z zarzutów w protokole pokontrolnym NIK dotyczył bowiem kwestii budowy obiektu dydaktycznego, o bardzo dużej kubaturze, bez… uprzednio uzyskanego stosownego pozwolenia. Władze uczelni liczyły, że skoro taki obiekt jest uczelni potrzebny, to inwestycję można rozpocząć, a później starać się o przychylność ministerstwa, które wyda stosowne pozwolenie i przekaże pieniądze. Tak się jednak nie stało i decyzją Głównego Zarządu Urzędu Budowlanego budowa obiektu – już w pewnym stopniu zaawansowana – została wstrzymana. Wszelkie uzgodnienia prowadzone przez nowego rektora trwały ponad pół roku i ostatecznie budowę można było kontynuować.

Także na czas kadencji – już wówczas profesora – prof. T. Bilińskiego przypadł moment istotnej zmiany: Wyższa Szkoła Inżynierska w Zielonej Górze, po konsultacjach i rozpoznaniu opinii lokalnej społeczności, zwróciła się do sejmu z prośbą o nadanie jej statusu politechniki. Ponieważ załatwienie tego tematu samodzielnie byłoby niemożliwe, pomysłem zainteresowano województwa, w których także funkcjonowały Wyższe Szkoły Inżynierskie. Do projektu włączyły się m.in. Opole, Koszalin i Radom, a wspólne działania przyniosły oczekiwany skutek: wszystkie wnioski zainteresowanych uczelni wpłynęły do sejmu i została przygotowana ustawa o nadanie statusu politechniki wszystkim zainteresowanym wyższym szkołom inżynierskim.

Prof. T. Biliński, już jako aktywny działacz partyjny i poseł na sejm, włączył się także w działania na rzecz uzyskania przez Politechnikę Zielonogórską i Wyższą Szkołę Pedagogiczną im. Tadeusza Kotarbińskiego statusu uniwersytetu. Dzięki szeroko zakrojonym działaniom 1 września 2001 r. powstał Uniwersytet Zielonogórski.

Rektorzy WSI / Politechniki Zielonogórskiej

doc. dr inż. Jerzy Kołakowski (1965-1968)
doc. dr inż. Kazimierz Bącal (1969-1972)
prof. dr hab. inż. Zygmunt Szafran (1972-1976)
prof. dr hab. inż. Tadeusz Biliński (1976-1981)
prof. dr hab. Michał Kisielewicz (1981-1987)
prof. dr hab. Marian Eckert (1987-1990)
prof. dr hab. inż. Marian Miłek (1990-1996)
prof. dr hab. Michał Kisielewicz (1996-2001)

Edyta Bembenek-Jung

Pierwsza uczelnia niepubliczna

Inauguracja roku akademickiego w Zachodniej Wyższej Szkole Handlu i Finansów Międzynarodowych im. Jana Pawła II w Zielonej Górze odbyła się w niedzielę, 13 października 2002 roku. Uczelnia została postawiona w stan likwidacji w grudniu 2014 r.

Do ewidencji wyższych szkół niepublicznych typu zawodowego Zachodnia Wyższa Szkoła Handlu i Finansów Międzynarodowych została wpisana niecały miesiąc przed inauguracją roku akademickiego 2002/2003. Na pierwszy rok kształcenia przyjęła wszystkich chętnych, czyli 20 osób na studia dzienne i 60 na zaoczne. Starania o utworzenie uczelni rozpoczęło Zachodnie Centrum Organizacji kierowane przez Antoniego Rutkę na długo przed wpisem do rejestru. Na pytanie o nazwę szkoły, studenci często odpowiadali, że studiują u Rutki. Formalnym założycielem zielonogórskiej uczelni była warszawska Wyższa Szkoła Handlu i Finansów Międzynarodowych im. Fryderyka Skarbka. Dlatego jej rektora prof. dr. hab. Ryszarda Domańskiego nazywano ojcem założycielem.

Pierwsza inauguracja roku akademickiego odbyła się 13 października 2002 r. w budynku Zespołu Szkół Samochodowych. W tym miejscu i w budynku należącym do Telekomunikacji Polskiej zajęcia odbywały się do 2007 r. Podczas pierwszej inauguracji rektor ZWSHiFM dr hab. Grażyna Bartkowiak, związana z Akademią Ekonomiczną w Poznaniu, obiecała studentom, że zrobi wszystko, aby oprócz studiów w macierzystej uczelni korzystali ze stypendiów zagranicznych, a do Zielonej Góry przyjeżdżali wykładowcy z innych państw.

Początkowo uczelnia miała strukturę bezwydziałową. W 2006 r. wyodrębniono Wydział Ekonomii i Handlu Międzynarodowego. Jego dziekanem został dr Andrzej Dębowski. Wtedy, jak podaje Wikipedia, utworzono katedry: Matematyki i Zastosowań i Zarządzania i Ekonomii oraz zakłady: Międzynarodowych Stosunków Gospodarczych i Integracji Europejskiej, Rachunkowości i Finansów i Gospodarowania i Nieruchomości.

W ZWSHiFM można było studiować handel międzynarodowy i gospodarkę nieruchomościami. Potem doszła polityka społeczna. Jeden z późniejszych rektorów dr hab. Tadeusz Zaborowski zapowiadał utworzenie kierunku prawniczego, ale do tego nie doprowadzono. Tak studia dzienne, jak i zaoczne w ZWSHiFM były płatne. Na przykład w roku akademickim 2005/2006 roczna opłata za studiowanie na pierwszym roku wynosiła 3995 zł, na drugim – 3704, na trzecim 3645. Można było wnosić opłatę co semestr lub w pięciu ratach, ale wtedy była ona wyższa.

fot. Archiwum

Pierwsza inauguracja roku akademickiego odbyła się 13 października 2002 r. Po trzech latach studiów uczelnię opuścili pierwsi licencjaci.

Uczelnia prowadziła studia podyplomowe na 30 kierunkach, między innymi z wyceny nieruchomości, zarządzania nieruchomościami, rynku finansowego i ubezpieczeniowego w gospodarce rynkowej, kompetencji menedżera, pozyskiwania i zarządzania funduszami Unii Europejskiej, zamówień publicznych. W 2007 r. za dwusemestralne studia z pośrednictwa w obrocie nieruchomościami trzeba było zapłacić 3150 zł. Studia z zarządzania placówkami służby zdrowia kosztowały 3550 zł, z wyceny nieruchomości – 4 tys., z bezpieczeństwa publicznego – 5,2 tys.

16 października 2005 r. pierwsi absolwenci odebrali dyplomy, otrzymując tytuł licencjata. Chętni mogli kontynuować studia magisterskie w warszawskiej Wyższej Szkole Handlu i Finansów Międzynarodowych. Zajęcia odbywały się w Warszawie i Zielonej Górze. Absolwenci otrzymywali dyplom uczelni warszawskiej, a ci, którzy chodzili na zajęcia prowadzone w języku angielskim, także holenderskiego Uniwersytetu Erazma w Rotterdamie.

16 października 2005 r. ZWSHiFM otrzymała imię Jana Pawła II. Kształciła 632 osoby, wśród nich 214 na pierwszym roku. Zatrudniała 64 pracowników, większość mieszkała w Zielonej Górze. Wykładowcy przyjeżdżali także z Poznania, Koszalina, Krakowa, Wrocławia i Warszawy.

W 2005 r. uczelnia wydzierżawiła od miasta wymagający gruntownego remontu budynek przy pl. Słowiańskim 9 (wcześniej mieściło się tam m.in. część Studium Nauczycielskiego i zakłady nauk ścisłych Wyższej Szkoły Pedagogicznej). Po gruntownym remoncie pod nadzorem konserwatora zabytków w 2007 r. zajęcia już odbywały się w tym budynku.

Formalnie w grudniu 2014 r. szkoła została postawiona w stan likwidacji. Jedną z przyczyn tej decyzji było coraz mniejsze zainteresowanie studiami w ZWSHiFM. Np. w 2009 r. liczba studiujących zmniejszyła się do 400. Także spadło zainteresowanie studiami podyplomowymi. W ciągu 12 lat istnienia uczelnia wydała ponad 500 dyplomów licencjackich. Stanowiska rektorów zajmowali kolejno: dr hab. Grażyna Bartkowiak, dr hab. Tadeusz Zaborowski i dr Zbigniew Pieniążek.

Uczelnia była wyróżniona certyfikatem Najwyższa Jakość w Edukacji. W rankingu szkół wyższych 2007 r. na 64 wyższe szkoły niepaństwowe kształcące dla biznesu i zarządzania zielonogórska uczelnia zajmowała 55 miejsce.

Nie wyszło na zdrowie

Lubuska Wyższa Szkoła Zdrowia Publicznego w Zielonej Górze zainaugurowała działalność 28 sierpnia 2008 roku. Wikipedia podaje, że w 2023 r. została wykreślona z rejestru. Trzy lata wcześniej została postawiona w stan likwidacji. Ile osób studiowało? Ile uczelnia wydała dyplomów? Tego nie udało się ustalić.

6 października 2008 r. zabrzmiał Gaudeamus Igitur w drugiej w Zielonej Górze, po Zachodniej Wyższej Szkole Handlu i Finansów Międzynarodowych, niepaństwowej uczelni. Oficjalnym założycielem Lubuskiej Wyższej Szkoły Zdrowia Publicznego było Stowarzyszenie Społeczne „Kreator", a sprawcą tego, że powstała taka szkoła, prezes stowarzyszenia dr hab. nauk medycznych Alfred Owoc, Zielonogórzanin z urodzenia i zamieszkania. Ukończył studia medyczne, jako lekarz był specjalistą w zakresie wychowania zdrowotnego. Od 1997 sprawował mandat posła z ramienia Sojuszu Lewicy Demokratycznej. W 2003 r. po głosowaniu na cztery ręce został wykluczony z klubu SLD i przeszedł do klubu Unii Pracy.

Uczelnia uzyskała zgodę Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego na przyjęcie 480 studentów. Na pytanie „Gazety Lubuskiej": czy będzie tylu chętnych? A. Owoc odpowiedział, że mimo iż zgoda na rozpoczęcie działalności przyszła późno, „Jest dobrze". Kandydaci na studia stacjonarne i niestacjonarne pochodzili z Zielonej Góry, Głogowa, Nowej Soli i innych miejscowości.

Szkoła tak zachęcała do podjęcia kształcenia: „Studia tutaj to szansa na: zdobycie wykształcenia wyższego w ciągu zaledwie 3 lat, opanowanie niezbędnej wiedzy specjalistycznej, zdobycie cennych umiejętności dzięki atrakcyjnym praktykom zawodowym, nawiązanie kontaktów zawodowych z przyszłym pracodawcą". W ulotce była mowa o tym, że szkoła będzie prowadziła studia na dwóch kierunkach. Pierwszy to kosmetologia ze specjalizacją z zakresu kosmetologii stosowanej, kosmetologii z relaksacją i bioodnową oraz wizażu ze stylizacją. Druga propozycja dotyczyła zdrowia publicznego z takimi specjalizacjami jak: zarządzanie w ochronie zdrowia i funduszami europejskimi, promocję zdrowia i elektroradiologię, promocję zdrowia i ratownictwo, promocję zdrowia z elementami farmacji stosowanej, promocję zdrowia z elementami rehabilitacji i bioodnowy, promocję zdrowia i żywienie człowieka. W ulotce była mowa o oligofrenopedagogice i logopedii. Uczelnia miała zatrudnić ponad stu pracowników. Większość z nich pochodziła spoza Zielonej Góry.

Studia nie były darmowe. Opłata rekrutacyjna to 85 zł, wpisowe – 365 i czesne. W roku akademickim 2014/2015 czesne wynosiło 5300 zł na kosmetologii i 4300 zł na zdrowiu publicznym przy rozłożeniu na dziewięć rat. Jednorazowa wpłata czesnego oznaczała niższy wydatek studenta: na kosmetologii 4980 zł, na zdrowiu publicznym – 4040 zł.

Przez pół roku od uruchomienia szkoły zajęcia odbywały się w lokalach wynajmowanych. W marcu 2009 r. uczelnia przeniosła się do ogromnego białego domu przy ul. Sulechowskiej, nazywanego przez Zielonogórzan willą cygańską. Zdaniem „Gazety Lubuskiej" budynek ten nie spełniał wymogów określonych w Prawie budowlanym. „Według art. 71 zmiana sposobu użytkowania budynku wymaga pozwolenia właściwego organu, w tym przypadku prezydenta – pisała »GL«. – Jak sprawdziliśmy, takiego pozwolenia nie ma. Ba! – Właściciel budynku nigdy nie składał wniosku o zmianę sposobu użytkowania – odpowiada nam 21 września Tomasz Nestorowicz z biura prezydenta". O tym, że w budynku mieszkalnym była uczelnia, nie wiedział powiatowy inspektor nadzoru budowlanego. Pytany przez „GL" jesienią tego samego roku, „czy to prawda, że budynek ma za niskie sale, nie ma wentylacji, [A. Owoc] zaprzecza. I dodaje, że poza małymi wyjątkami, ale dopuszczalnymi, obiekt spełnia wymagania techniczne". Mimo to „GL" zarzuciła rektorowi, byłemu posłowi, łamanie prawa.

Na pytanie „NW", dlaczego w 2020 r. uczelnia przestała przyjmować kandydatów na studentów, prof. dr hab. A. Owoc (w 2015 r. prezydent RP nadał mu tytuł naukowy profesora) odpowiedział, że wiązało się to ze zmianą jego miejsca zamieszkania. To było jedyne pytanie, na które odpowiedział były rektor. Redakcja zwróciła się do prof. Owoca między innymi z takimi pytaniami: ile osób studiowało w LWSZP, ilu absolwentów opuściło uczelnię? W trakcie rozmów telefonicznych zapewniał, że przyśle oczekiwane informacje.

Ps. W piątek, 29 sierpnia, przed południem redakcja „NW" wysłała SMS do prof. Owoca, w którym przypomniała, że obiecał, iż tego dnia przyśle odpowiedź na zadane pytania. Przysłał SMS: „Tak pamiętam ale są wakacje a wrócę do wawy w niedzielę popołudniowo i wtedy przesyłkę mailowo dostarcze/szybko info przygotuję bo wtedy będę miał dostęp do źródłowych papierów/ sorry – mam nadzieję że na weekend nic się nie dzieje, pozdrawiam". Nie przysłał.

AS

Uczelnia zajmowała budynek przy ul. Sulechowskiej 18 *Źródło: Wikipedia*

Arkadiusz Cincio

Uczono, jak uprawiać i pielęgnować winorośle

W powszechnej świadomości tradycje winiarskie Zielonej Góry i regionu przez długi czas kojarzone były głównie z okresem niemieckim. Taki uproszczony obraz rzeczywistości jest szczególnie rozpowszechniony poza samym miastem. Tymczasem historia zielonogórskiego winiarstwa w latach 1945–1989 pozostaje nieco zapomniana.

Mieczysław Kaszuba (1925-2017) prowadził winnicę w Droszkowie, uzyskując z niej wino wysokiej jakości. W 1985 roku w Starej Wsi koło Nowej Soli powstała winnica Kinga. Symboliczną ciągłość podtrzymuje również niewielka winnica przy zielonogórskiej Palmiarni. W 1994 r. powołano Lubuskie Stowarzyszenie Winiarskie, którego celem było odrodzenie winiarstwa w mieście i regionie. Wśród jego działaczy znaleźli się m.in. dr Karol Gajewski (1935-2024) i Stanisław Ostrowski (1933–2012) – obaj absolwenci zielonogórskiej szkoły sadowniczo-winiarskiej. Sam fakt powstania takiej placówki świadczy o aspiracjach związanych z rozwojem winiarstwa.

O utworzenie szkoły zabiegały Powiatowe Biuro Rolne i Powiatowa Komisja Szkół Rolniczych. Ostatecznie, jesienią 1946 r. na polecenie Ministerstwa Oświaty rozpoczęto organizację Państwowego Gimnazjum Winiarsko-Sadowniczego w Zielonej Górze. Zadania tego podjął się Wacław Szymański, pełniący obowiązki dyrektora. Najważniejszą kwestią było zapewnienie odpowiedniej bazy dydaktycznej. Szkoła wystąpiła do miasta o przekazanie 4,5 ha winnic, od 2 do 4 ha sadów, cieplarni oraz budynków szkolnych i internatów dla chłopców i dziewcząt. Wnioskowano również o budynek na potrzeby planowanego muzeum sadowniczo-winiarskiego. Większość postulatów spotkała się z przychylnością, choć samodzielnego muzeum nie udało się stworzyć – najpewniej z powodów finansowych.

Siedzibą szkoły stał się pałacyk z końca XIX wieku, położony w parku przy ul. Jaskółczej i znany przed wojną jako Villa Heimdahl. Do praktyk uczniowskich przeznaczono część dawnego gospodarstwa Ottona Erlera. Wiosną 1947 r. szkoła ogłosiła nabór na czterotygodniowe kursy pielęgnacji sadów i winnic, a równocześnie rozpoczęto rekrutację do trzyletniego gimnazjum. Uczniom oferowano miejsca w internatach oraz stypendia dla mniej zamożnych. Internat żeński mieścił się przy ul. Kukułczej (obecnie budynek Polskiego Radia). W trzeciej klasie uczniowie mogli wybrać jedną z czterech specjalizacji: hodowlę winorośli, sadownictwo, warzywnictwo lub przetwórstwo.

Naukę rozpoczęto w październiku 1947 r. Program obejmował między innymi gleboznawstwo, sadownictwo i szkółkarstwo, uprawę winorośli, warzywnictwo, ochronę roślin przed chorobami i szkodnikami oraz pszczelarstwo. Praktyczne zajęcia odbywały się w wydzierżawionej od miasta winnicy przy ul. Tatrzańskiej. W zamian szkoła przekazywała 15 proc. plonów. Na wiosnę 1948 r. placówka otrzymała z Francji 87-kilogramową paczkę sadzonek winorośli odmian Aurora i Cascade. Posłużyły one do założenia winnicy szkolnej przy ul. Kukułczej, a w późniejszych latach ich potomne krzewy rosły także na Winnym Wzgórzu. W 1951 r. planowano założenie półhektarowej winnicy produkcyjno-doświadczalnej złożonej z 25 odmian winorośli szlachetnej Vitis vinifera oraz 25 krzyżówek. Ostatecznie jednak projektu nie zrealizowano.

Szkoła w Zielonej Górze zakończyła działalność w 1952 r. Jej budynek przekazano Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej. Uczniowie mogli kontynuować naukę w nowo utworzonym Technikum Ogrodniczym w Iłowej, gdzie początkowo prowadzono również klasy winiarskie.

Na szczególną uwagę zasługują nauczyciele tej szkoły. Legendarną postacią był Grzegorz Zarugiewicz, wcześniej związany z ośrodkiem winiarskim w Zaleszczykach. Winiarstwa uczył także Marceli Nowak, który zdobywał doświadczenie we Francji. Z kolei etyki nauczała Eugenia Łychowska – pierwsza polska kierowniczka zielonogórskiego muzeum.

fot. Archiwum

Zajęcia na winnicy, W środku nauczyciel Grzegorz Zarugiewicz.

Można przyjąć, że likwidacja szkoły sadowniczo-winiarskiej była skutkiem utworzenia województwa zielonogórskiego. Miasto, stając się stolicą nowej jednostki administracyjnej, potrzebowało lokali dla urzędów oraz mieszkań dla szybko rosnącej liczby mieszkańców. Przeniesienie placówki świadczyło też o tym, że w opinii wielu decydentów podtrzymywanie tradycji winiarskich nie miało uzasadnienia. W takich warunkach kres winnic w mieście był jedynie kwestią czasu. Jednak dziedzictwo szkoły przetrwało – jej absolwenci w latach 90. XX wieku aktywnie działali na rzecz odrodzenia winiarstwa w regionie, m.in. w ramach Lubuskiego Stowarzyszenia Winiarskiego. Historia zielonogórskiej szkoły sadowniczo-winiarskiej jak w soczewce skupia powojenne dzieje miasta. Odnajdujemy w niej początkowy entuzjazm i wzrost aktywności społecznej po II wojnie światowej, twórcze nawiązanie do tradycji winiarstwa kresowego i niemieckiego, a z drugiej strony – odrzucenie dorobku wcześniejszych pokoleń w okresie stalinizmu.

Uczniowie nosili stalowe mundury

W 1989 roku, po dziesięciu latach istnienia, Liceum Lotnicze w Zielonej Górze przestało kształcić mechaników osprzętu lotniczego. Jego miejsce zajęło Wojskowe Liceum Ogólnokształcące. Cztery lata później stało się publicznym IV Liceum Ogólnokształcącym.

1 września 1979 r. w Zielonej Górze powstała filia Ogólnokształcącego Liceum Lotniczego w Dęblinie. Szkoła usamodzielniła się w 1982 r. Dlaczego w Zielonej Górze? Konkretnego wyjaśnienia nie ma w żadnym dokumencie. Jest jedynie informacja o tym, że szkoła będzie przeznaczona dla młodzieży męskiej z zachodniej Polski. Znawcy problemu dodają, że w zielonych garnizonach ówczesnego województwa zielonogórskiego było dużo oficerów z rodzinami. Liceum miało kształcić ich dzieci, które [w domyśle] wybiorą karierę wojskową. Mniej więcej w tym samym czasie w różnych miastach powstało kilka wojskowych liceów ogólnokształcących. W rzeczywistości uczniowie zielonogórskiego liceum pochodzili z całej Polski. Do zorganizowania szkoły został oddelegowany zastępca dyrektora dęblińskiego liceum płk pil. dr Stefan Bulanda, który kierował nią do 1989 r. i potem liceami. Jego zastępcami do spraw wychowawczych byli oficerowie oddelegowani z wojska.

Była to czteroletnia szkoła ogólnokształcąca i zawodowa. Przyjmowano do niej absolwentów szkół podstawowych, którzy mieli polskie obywatelstwo. Jednym z warunków był bardzo dobry stan zdrowia. Po złożeniu dokumentów kandydaci stawali przed komisją lotniczo-lekarską w Dęblinie. Badania trwały nawet trzy dni. Ci, którzy przeszli pomyślnie badania, w czerwcu składali egzamin wstępny z języka polskiego, matematyki i sprawności fizycznej.

Ponadto uczniowie składali oświadczenie, potwierdzone przez rodziców, że po ukończeniu liceum wstąpią do Wyższej Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Dęblinie lub do innej szkoły oficerskiej. Jeżeli uczeń zrezygnował z nauki lub nie dotrzymał zobowiązania, musiał zwrócić koszty umundurowania i wyżywienia.

Uczniowie byli skoszarowani w internacie. Liceum zapewniało im bezpłatne wyżywienie, umundurowanie, podręczniki i przybory szkolne. Uczniowie otrzymywali bezpłatny bilet na przejazd z Zielonej Góry do domu rodzinnego. Jeden miesiąc wakacji spędzali na obowiązkowym szkoleniu wojskowym. Po pierwszej klasie był to obóz kondycyjnego przygotowania do lotów, po drugiej klasie – obóz spadochronowy (każdy musiał oddać siedem skoków), po trzeciej klasie – obóz szybowcowy, zakończony zdobyciem odznaki szybowcowej, po czwartej klasie – obóz samolotowy.

Tygodniowy plan obejmował 35 godzin zajęć. Dzień zaczynał się od pobudki kilkanaście minut po szóstej. Potem była poranna zaprawa, toaleta, śniadanie i apel. Lekcje odbywały się do szesnastej z przerwami na drugie śniadanie i obiad. Od siedemnastej do dziewiętnastej trwała nauka własna. Po niej była kolacja, oglądanie dziennika telewizyjnego, czas wolny i capstrzyk. Cisza nocna zaczynała się o dwudziestej drugiej. Oprócz przedmiotów ogólnych dochodziły takie przedmioty zawodowe jak: technologia lotnicza, zarys wiedzy lotniczej, informatyka, mechanika lotnicza, budowa silników, urządzenia radioelektryczne i osprzęt. Szczególną uwagę zwracano na sprawność fizyczną uczniów. Dziennikarzowi „Gazety Lubuskiej" dyrektor Bulanda powiedział: „Nasi chłopcy za kilka lat będą pilotami samolotów odrzutowych. W tym zawodzie sprawność fizyczna jest sprawą najważniejszą".

Do klasy pierwszej w 1979 r. przyjęto 110 chłopców. Po czterech latach nauki do egzaminów z przedmiotów zawodowych przystąpiło 58 uczniów, egzaminy zdało 56. Potem był egzamin pisemny z języka polskiego i matematyki, po nim egzamin ustny. Świadectwa maturalne otrzymało 47 mechaników osprzętu lotniczego. Spośród nich tylko 26 rozpoczęło studia na uczelni lotniczej w Dęblinie. Pozostali kształcili się w innych szkołach oficerskich. Ze względu na stan zdrowia kilku studiowało na uczelniach cywilnych.

Po 1989 r. nastąpiły zmiany w Wojsku Polskim, między innymi zlikwidowano wiele jednostek wojskowych w zachodniej Polsce i szkół wojskowych. Wśród zlikwidowanych znalazło się zielonogórskie Liceum Lotnicze. Jego miejsce zajęło Wojskowe Liceum Ogólnokształcące prowadzone przez zielonogórskiego kuratora oświaty. Szkoła w założeniu miała być przeznaczona dla młodzieży z rodzin wojskowych. Trzy lata później miejsce wojskowego liceum zajęło IV Liceum Ogólnokształcące, którego patronem pozostał kpt. pil. Eugeniusz Horbaczewski. W 2002 r. powstał Zespół Szkół Akademickich, w skład którego weszło liceum i Gimnazjum nr 10 im. gen. bryg. pil. Stanisława Skalskiego

Dyplomy ukończenia zielonogórskiego Liceum Lotniczego ma ponad 300 osób, wśród nich generałowie piloci, między innymi: Adam Drewniak, Stefan Rutkowski, Adam Świerkocz.

Uczniowie w swoich mundurach wyjściowych *fot. Archiwum*

DJ

Edukacja na poziomie europejskim

Europejska Fundacja Oświaty i Kultury, która powstała w 2008 roku, najpierw stworzyła i prowadziła Europejskie Liceum Ogólnokształcące i Europejskie Gimnazjum w Zielonej Górze, a w konsekwencji w 2013 r. Europejską Szkołę Podstawową. Dziś obie placówki cieszą się uznaniem nie tylko wśród rodziców, ale i uczniów, którzy uczęszczają do tych szkół.

Od początku działalności fundacja stawia na wysoki poziom edukacji, otwartość na różnorodność kulturową oraz kształtowanie postaw obywatelskich i europejskich. Szkoły prowadzone przez fundację są miejscem, w którym nowoczesne nauczanie wiąże się z wielokulturowością i ideą edukacji bez granic. Programy edukacyjne szkół obejmują zarówno podstawy polskiego systemu oświaty, jak i elementy edukacji europejskiej, z praktycznymi kompetencjami językowymi, współpracę międzykulturową oraz rozwój osobisty uczniów.

Jak mówi dr Bożena Kempa, dyrektorka zielonogórskich szkół dr Rahn, od 2023 r. obie placówki realizują nową koncepcję pedagogiczną, przynoszącą już wymierne rezultaty w postaci lepszych wyników oraz większego zadowolenia uczniów, nauczycieli i rodziców. Europejska Szkoła Podstawowa zrezygnowała ze stosowania ocen cyfrowych na rzecz oceniania kształtującego – procesu, którego celem jest wspieranie ucznia w nauce poprzez udzielanie mu informacji zwrotnej, pomagającej zrozumieć, co wykonuje dobrze, a co wymaga poprawy. W ten sposób uczeń przejmuje odpowiedzialność za proces uczenia się, a dodatkowo rozwija w nim pasję i wewnętrzną motywację do nauki.

Fundacja promuje twórczość Fryderyka Chopina, wspierając młodych muzyków poza granicami Polski.

W roku szkolnym 2024/2025 nauczyciele szkół dr Rahn uczestniczyli w programie rekomendowanym przez Ministerstwo Edukacji Narodowej – Tutoring szkolny. To nowoczesne narzędzie do budowania pozytywnych relacji między uczniem a nauczycielem. Skupienie uwagi na procesach edukacyjnych, troska o dobrostan ucznia i nauczyciela oraz indywidualne podejście sprawiają, że szkoła staje się miejscem przyjaznym, wspierającym i otwartym na potrzeby młodych ludzi.

Fundacja ściśle współpracuje zarówno z lokalnym środowiskiem, jak i instytucjami o zasięgu międzynarodowym. Nieprzypadkowo placówki fundacji są oficjalnym Centrum Egzaminacyjnym Cambridge, dzięki czemu uczniowie mogą zdobywać międzynarodowe certyfikaty językowe i podnosić swoje kompetencje językowe. Równocześnie we współpracy z Goethe-Institut szkoły wspierają naukę języka niemieckiego i organizują wydarzenia promujące kulturę krajów niemieckojęzycznych.

Dr Kempa zapewnia, że działalność fundacji wykracza również poza obszar edukacji. Od lat jest ona promotorem polskiej i niemieckiej kultury, organizując koncerty, warsztaty, spotkania autorskie i projekty międzynarodowe. Przykładami mogą być: koncert laureatów Młodzieżowego Konkursu Chopinowskiego w sierpniu 2023 r. czy Polsko-Niemiecki Most Edukacyjny łączący szkoły i instytucje z obu krajów.

Na arenie międzynarodowej Europejska Fundacja Oświaty i Kultury od kilku lat jest partnerem polskiej ambasady w Kairze. Obie instytucje działają na rzecz propagowania muzyki Chopina, tworząc i wspierając prestiżowy w regionie Konkurs Chopinowski dla uzdolnionej młodzieży na Bliskim

Uczniowie z niemieckiego Neuzelle, Omanu i Zielonej Góry wykonujący zadania należące do projektu We Wear English (dosłownie: Nosimy angielski) *Źródło: https://rahn.education*

Wschodzie. Fundacja promuje twórczość Fryderyka Chopina, wspierając młodych muzyków poza granicami Polski. To przykład na to, że lokalna organizacja może mieć realny wpływ na promocję polskiej kultury na świecie.

Dzięki zaangażowaniu kadry pedagogicznej, wsparciu rodziców i szerokim kontaktom międzynarodowym, Europejska Fundacja Oświaty i Kultury nieustannie rozwija się, budując mosty między edukacją a kulturą w środowisku lokalnym na poziomie europejskim.

Zielona Góra zyskuje na prowadzonej działalności fundacji podwójnie, stając się miejscem nowoczesnej edukacji i otwartego dialogu międzykulturowego.

W regulaminie jest mowa o tym, że „Rodzice są zobowiązani do ponoszenia kosztów kształcenia ich dzieci w szkołach dr Rahn". Do podstawówki, jak i liceum wpisowe wynosi 1 tys. zł. Czesne w klasach I-VII szkoły podstawowej to 1,2 tys. zł miesięcznie wpłacanych przez wszystkie miesiące (razem 14,4 tys.). Uczniowie ósmych klas płacą po 1,44 tys. zł przez dziesięć miesięcy. Identyczne opłaty dotyczą uczących się w liceum. Do tego dochodzi „składka roczna na rzecz koncepcji szkoły" – dwa razy po 300 zł. Regulamin wyjaśnia, że składka roczna obejmuje: „opracowanie i przygotowanie materiałów dydaktycznych potrzebnych do realizacji koncepcji; zakup materiałów edukacyjnych i szkoleń dla nauczycieli potrzebnych do realizacji koncepcji; poprawę i rozwój warunków nauczania oraz stosowania różnych form dydaktycznych w celu realizacji koncepcji szkoły". Rodzicom, którzy zdecydują się na edukację w szkołach dr Rahn więcej niż jednego dziecka, przysługuje prawo do zniżki za naukę drugiego i kolejnych dzieci.

AM

Edukacja według dr. Rahn Education

Grupa edukacyjna Rahn Education istnieje od 1990 r. Powstała w Niemczech, a jej celem najpierw była edukacja dorosłych. Obecnie prowadzi ponad 40 placówek oświatowych w Europie, większość znajduje się w Niemczech. W Zielonej Górze od 2008 r. istnieje Europejska Fundacja Oświaty i Kultury. W tym samym roku powstało Europejskie Gimnazjum i Europejskie Liceum Ogólnokształcące. W 2013 r. została utworzona Europejska Szkoła Podstawowa. Fundacja, która jest organem prowadzącym Europejską Szkołę Podstawową i Europejskie Liceum Ogólnokształcące, współpracuje z Rahn Education z siedzibą w Lipsku. Zatrudnia 44 nauczycieli. Do obu szkół uczęszcza 214 uczniów, w tym do liceum 140. Fundacja prowadzi Centrum Egzaminacyjne Goethe Instytut, które w 2025 r. zorganizowało egzaminy z języka niemieckiego dla 190 osób. Od tego roku jest tam także Centrum Egzaminacyjne Cambridge. W 2025 r. zostały przeprowadzone egzaminy z języka angielskiego dla 34 uczniów.

Izabela Korniluk

Atrakcją były dowcipy, anegdoty i rysunki

Pierwszy „Kalendarz Lubuski" wyszedł w 1972 roku. Ostatni jako „Kalendarz Zielonogórski" ukazał się w 1985 r. w nakładzie 5 tys. egzemplarzy. Wyszło siedem kalendarzy.

Lubuskie Towarzystwo Kultury działające w regionie od 1957 roku, oprócz koordynowania prac kulturalnych na Ziemi Lubuskiej, miało ambicje, by na rynku wydawniczym, ukazywały się publikacje i pisma propagujące dzieje Środkowego Nadodrza. Spod pióra członków stowarzyszenia wychodziły nie tylko publikacje naukowe poświęcone dziejom regionu, jak na przykład „Rocznik Lubuski", ale także popularno-naukowe pozycje mające zainteresować każdego czytelnika historią i współczesnością regionu. Do takich należy zaliczyć „Kalendarz Lubuski".

Prace nad „Kalendarzem Lubuskim" podjęto na początku lat 70. Impulsem do stworzenia publikacji było spotkanie z przedstawicielami Kujawsko-Pomorskiego Towarzystwa Kulturalnego i Towarzystwa Miłośników Miasta Bydgoszczy. Delegacja z Pomorza przyjechała do Zielonej Góry, by zapoznać się z pracami LTK oraz wymienić doświadczenia związane z pracą w towarzystwie kulturalnym. Prezes KPTK omówił działalność towarzystwa i zaprezentował wydawany przez społeczników „Kalendarz Bydgoski", który szczególnie zainteresował członków lubuskiego stowarzyszenia.

Władze LTK wykorzystując pomysł bydgoszczan postanowiły wydawać podobną publikację popularno–naukową. Nowy projekt otrzymał nazwę „Kalendarz Lubuski". Według zamierzeń twórców miała to być niezbyt kosztowna pozycja przeznaczona dla każdego Lubuszanina, która oprócz kalendarium zawierałaby kilka działów prezentujących historię regionu, przemysł, rolnictwo, oświatę i sport oraz sylwetki osób zasłużonych dla regionu. Postanowiono, że formuła „Kalendarza Lubuskiego" nawiązywać będzie do XIX-wiecznego „Grünberger Hauskalendera" oraz jego regionalnych odmian m.in. kożuchowskiego „Freystäther Hauskalender" czy krośnieńskiego „Crossen an der Oder Hauskalender". Uznano bowiem, że tworzenie świadomości narodowej było szczególnie istotne na nowo zasiedlonych terenach.

Kolegium redakcyjne rocznika ukonstytuowało się w składzie: Janusz Koniusz (redaktor naczelny), Bolesław Soliński i Tadeusz Kajan. Redaktorzy pracowali nad koncepcją periodyku, uznając nową publikację jako potrzebną i wartościową na lokalnym rynku wydawniczym, informującą czytelników o wszelkich sprawach w województwie i związanych z województwem w formie przystępnej monografii.

Pierwszy numer „KL" ukazał się w 1972 r. W słowie wstępnym prezydium LTK informowało czytelników o celach i planach nowej publikacji. „Po raz pierwszy przekazujemy w Wasze ręce, Drodzy Czytelnicy, kalendarz lubuski na rok 1972. Tego typu publikację zamierzamy wydawać corocznie.

Za pośrednictwem kalendarzy pragniemy w najszerszych kręgach społeczeństwa Ziemi Lubuskiej popularyzować dzień dzisiejszy i jutro, a także przeszłość Środkowego Nadodrza. Chcielibyśmy, aby kalendarze stały się również pomocne w pracy szkolnej". Zachęcano również czytelników do współredagowania publikacji i nadsyłania małych form publicystycznych, które zostałyby opublikowane w następnych rocznikach.

Już od pierwszego numeru „Kalendarza" ugruntował się jego charakter i szata graficzna. Pierwszą cześć stanowiło kalendarium wydarzeń – każdy miesiąc ilustrowały rysunki satyryczne, herby poszczególnych miast lub zdjęcia lubuskich pejzaży; drugą artykuły na temat tradycji i historii Ziemi Lubuskiej. Kalendarze były małymi informatorami, poradnikami, niestroniącymi od dobrego humoru. „Miało mieć charakter encyklopedyczno-informacyjny i zawierać jak najmniej artykułów długich, a sporo małych form. Atrakcją »Kalendarza« powinny być dowcipy, rysunki i anegdoty".

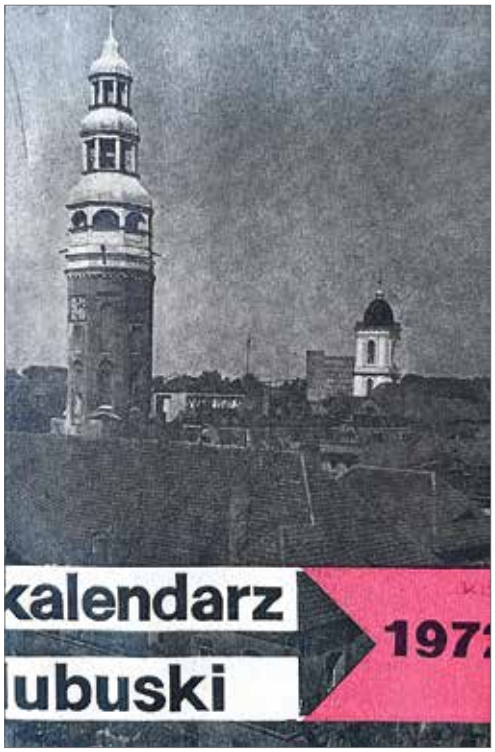

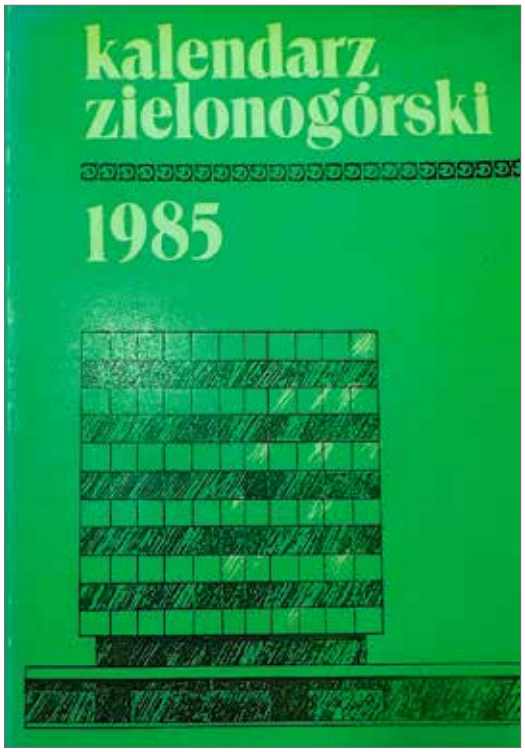

Publikację w planach wydawniczych LTK realizowano jeszcze przez następne trzy lata. W 1975 r. „Kalendarz Lubuski" pojawił się na rynku wydawniczym po raz ostatni. Każda z publikacji miała podobną formułę, jednak ten z 1975 r. miał nieco inny charakter. Oprócz artykułów poważnych, związanych z osiągnięciami na Ziemi Lubuskiej w 30-leciu PRL, w sferze kultury, nauki i gospodarki przedstawiono odmienną od poprzednich formułę kalendarza. „W tegorocznym wydaniu uważny czytelnik dostrzeże próby wyjścia poza ubiegłoroczne cykle. W kalendarium są to prognoza pogody, poradnik działkowca, w tekście są to cykle o ludziach Ziemi Lubuskiej, kąciki miłośników, wiadomości sportowe". W prezentowanym w pierwszej części wydawnictwa kalendarzu zrezygnowano z prezentacji dat i wydarzeń historycznych z regionu na rzecz swobodniejszych tematów. Przy każdym miesiącu umieszczono anegdoty, rysunki satyryczne, przysłowia oraz porady ogrodnicze dla działkowców: co, kiedy i w jakiej ilości siać, jak sadzić, jakie stosować sztuczki, by rośliny lepiej rosły, kiedy zbierać plony i co najłatwiej z nich przygotować. Omawiano warunki pogodowe charakterystyczne dla każdego miesiąca. Absolutną nowością okazał się sennik.

Druga część wydawnictwa zawierała wspomnienia, artykuły o gospodarce, historii, historii regionu, jego walorach turystycznych, kulturze oraz osobach zasłużonych dla Środkowego Nadodrza, takich jak: Kasper Elyan, Jan Stanko, Konrad z Glisna – Gliszczyński, Adam Grodziecki, Jan Szlichtyng i Jan Kepler.

Do pomysłu wznowienie publikacji wydawanych przez LTK w formie kalendarza wrócono w planach wydawniczych w 1979 r. Tym razem zmieniał się nazwa na „Kalendarz Zielonogórski". Zdecydowano się na ten krok, ponieważ inne miejscowości, jak Żary, Żagań czy Nowa Sól wydawały swoje „kalendarze" lub „almanachy". Postanowiono skupić się tylko na Zielonej Górze i temu miastu poświęcić publikację.

„Kalendarzy Zielonogórskich" ukazały się trzy numery – w 1980, 1984 i 1985 r. Redaktorem wydawnictwa na 1980 r. został J. Koniusz, a dwa następne przygotowali autorzy pod redakcją Alfreda Siateckiego. Praca nad poszczególnymi numerami przebiegała podobnym torem, jak przy poprzednich edycjach. Nie zmieniono też samej formy publikacji, schematu i treści.

W pierwszej części wydawnictwa zawarto kalendarz na cały rok z opisem chronologicznym wydarzeń, pojawiały się ciekawostki, rysunki, zdjęcia. Druga część zawierała krótkie artykuły dotyczące spraw społecznych, kulturalnych oraz historii. Przyjęto również taką samą, sprawdzoną już formę sfinansowania wydawnictwa jak przy „Kalendarzach Lubuskich". Reklamodawcy płacili za swoje reklamy umieszczane w publikacji, co stanowiło główne, choć nie jedyne źródło zapłacenia za papier, skład i druk.

Kalendarze ukazywały się w postaci książkowej w formacie A5. Ich objętość przekraczała 150 stron druku. Np. wydany na 1984 r. miał 180 stron. Najgrubszy był kalendarz na 1985 r. – 204 strony. Nakład kalendarz na 1984 r. wynosił 1,5 tys. egzemplarzy, na 1985 r. –5 tys.

Mimo krótkotrwałej bytności na lubuskim i zielonogórskim rynku wydawniczym kalendarze LTK cieszyły się popularnością. Towarzyszyły mieszkańcom Winnego Grodu i regionu przez cały rok, dostarczały wiedzy, informacji i porad oraz sporej dawki humoru.

Dorota Syguła

Jestem szczęśliwa bez ciebie

30 maja, 2015

Zobaczyłam go i od razu wiedziałam, że to mój przyszły mąż. Chciałabym móc tak powiedzieć. Ale byłoby to kłamstwo.

Spodobał mi się. Był przystojny w najbardziej możliwie trywialny sposób. Wysoki, dobrze zbudowany. Jego czarne włosy przechodziły w baczki po bokach twarzy, definiując miejsce, w którym łączyły się z włoskami tworzącymi brodę. Jego postawa ciała wysyłała do ludzi wiadomość o pewności siebie i dystansie do świata. Wyprostowana, z wypiętą klatą, a dłonie schowane w kieszeniach spodni w kolorze khaki, w stylu tech-wear.

Zmierzał w stronę bocznego wejścia CRS. Prawdopodobnie na koncert. W tamtym roku Perfect miał grać w Zielonej Górze po raz ostatni. Właściwie, o ile dobrze pamiętam, ta informacja nie została podana oficjalnie, ale takie było przypuszczenie. Zespół istniał już 35 lat, a wokalista powoli zaczynał narzekać na swoje zdrowie. Bardzo chciałam tam być, ale nie było mnie stać na bilety. Pozostało mi więc jedynie przechadzać się naokoło i liczyć, że choć trochę poczuję tę niesamowitą atmosferę.

Przez ułamek sekundy miałam wrażenie, że chłopak, znikający w murach CRS, rzucił ostatnie kontrolne spojrzenie na otoczenie, a nasze spojrzenia się spotkały. Zatopiłam się w tej chwili. Wyobraziłam sobie, jak zawraca, podchodzi do mnie i zaczyna rozmowę. Nie miałam pojęcia, co mógłby powiedzieć, ale czułam, że on doskonale wiedziałby, jakie słowa roztopią moje serce. Później zabrałby mnie na wymarzony koncert – tańczylibyśmy i śpiewali na cały głos piosenki pośród tłumu, a ludzie patrzyliby na nas i zazdrościli, że to nie oni są tą parą, która tak świetnie się bawi. Kiedy Grzegorz Markowski zapowiedziałby kultową *Autobiografię*, zrobiłabym smutną, słodką minkę i powiedziała: Och no nie, nic nie będę widzieć, a on, bez chwili zastanowienia, wziąłby mnie na ręce i posadził sobie na ramionach. Jego dłonie dotykałyby moich łydek, czasem przypadkowo smyrając moje wewnętrzne części ud…

Przerwałam swój tok myślowy, bo poczułam, że podniecenie zbyt mocno przejmuje nade mną kontrolę. Chłopak po prostu wszedł na koncert i nawet mnie nie zauważył. Takie były fakty. Moja mama zawsze powtarzała, że jestem naiwna, ale jej zdaniem to była zaleta.

– Naiwni ludzie są bezkonkurencyjni w jednej rzeczy – mówiła.

– Jakiej? – zapytałam pewnego dnia.

– W wierze – odpowiedziała, patrząc mi prosto w oczy. – Wierzą, tak jak nikt inny. Jeśli są w jakiejś kwestii naiwni, to przyjmują ją bez żadnych „ale". Biorą to jako swoje i nie podważają.

– Dlaczego to jest zaleta? – Nadal nie rozumiałam.

– Wszystko, w co uwierzysz, już się tak naprawdę wydarzyło. W twojej podświadomości – uśmiechnęła się i spojrzała na kilka sekund w bok, jakby się nad czymś zastanawiała. – A stamtąd już tylko krok do rzeczywistości.

Wierzyłam, że będę mogła uczestniczyć w koncercie Perfectu. Spacerowałam z kubkiem kawy w ręce dookoła miejsca, w którym odbywało się wydarzenie, i słyszałam słowa utworu: *Za jej Poli Raksy twarz każdy by się zabić dał / W pewną letnią noc, gdzieś na dach wyniosłem koc / I dostałem to, com chciał.*

Być może w mojej podświadomości. Być może naprawdę. Ale słyszałam.

5 czerwca, 2015

Tak naprawdę to On mnie zobaczył. On i wielu innych mężczyzn, którzy znikali w tych samych drzwiach albo przechodzili gdzieś obok, nieświadomi tego, co działo się w hali.

Właściwie nie byłam tym zaskoczona. Mężczyźni zawsze zauważają atrakcyjne kobiety. Po prostu nie zawsze nawiązują z nimi jakikolwiek kontakt. Czasem nie mają wystarczająco dużo odwagi, innym razem pomysłu lub czasu, a jeszcze częściej – mają. Dziewczynę. A ich kręgosłup moralny nie pozwala im ulegać pokusom.

Zawsze jednak widzą. On też widział.

– Pić kawę w Zielonej Górze to właściwie grzech – powiedział beznamiętnie. Siedziałam przy stoliku w kawiarni, patrząc przez okno, a On nagle wyrósł przede mną i tak po prostu wypomniał mi to, co robiłam.

– Gdyby ludzie za życia zostawali świętymi, ty byłbyś jednym z nich – powiedziałam.

Liczyłam na to, że roześmieje się słysząc mój żart. Lub chociaż zrobi krzywą minę, wyrażając dezaprobatę dla mojego słabego poczucia humoru. Mięśnie na jego twarzy nadal jednak nie drgnęły.

– Mogę ci pokazać drogę do świętości. Wiesz, z czego słynie Zielona Góra?

– Ze świętości? – zapytałam bez zastanowienia.

– Z wina.

Kolejne miesiące były jak z bajki. Wszystkie romantyczne historie, które czytałam dotychczas w książkach, nie umywały się do tej, którą przeżywałam z Marcinem.

Dziś chodziłabym dumna jak paw, mając świadomość, że taki facet zwrócił na mnie uwagę. Wtedy mnie to nie obchodziło. Po prostu cieszyliśmy się życiem.

W ciągu dnia, będąc w pracy, ukradkiem pisaliśmy do siebie słodkie wiadomości. Z czasem też erotyczne. Wysłałam mu zdjęcia z łazienki w bieliźnie, które zrobiłam specjalnie dla niego. Prawie przyłapał mnie na tym kolega z pracy, ale to też mnie nie obchodziło. Najważniejsze było to, co odpisał Marcin.

Nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy mnie po pracy. Przyjechał po mnie 10 minut przed końcem mojej zmiany. Na elektrycznej, wypożyczonej hulajnodze.

Popołudniami spacerowaliśmy po mieście. Marcin pokazał mi winnicę w Zielonej Górze i najpiękniejszy miejski park. Zawsze miał przy sobie mały, przenośny głośnik. Włączał muzykę i tańczył ze mną, gdy nabierałam na to ochoty.

Wieczorami jeździliśmy w dzikie miejsca. Nad jezioro, opuszczony, ciemny, zaniedbany park. Na imprezy wchodziliśmy zawsze przed godziną 22, żeby uniknąć płacenia za wejściówkę. Czasem przemycaliśmy tanie wino, kiedy Marcin miał akurat na sobie szerokie spodnie z pojemnymi kieszeniami. Później wracaliśmy pieszo do domu kilka albo kilkanaście kilometrów, nie mając pieniędzy na bilet autobusowy.

– Jak będziemy mieć po sześćdziesiąt lat, to zarobimy tyle kasy, że z każdej imprezy będziemy wracać taksówką – powiedział Marcin pewnej nocy, gdy szliśmy brzegiem ulicy, mijając kolejne lampy i zmierzając do domu. – A ty będziesz najseksowniejszą babcią, jaką kiedykolwiek widzieli w klubie.

– Tylko nie babcią – parsknęłam śmiechem. Bycie w takim wieku było dla mnie kompletną abstrakcją. Czymś, co nigdy się nie przydarzy. Nie mnie.

– W każdym razie z twojej emerytury będziemy kupować wino, a z mojej płacić za taksówki.

– O nie, nie, moja idzie na czekoladę!

Kilka dni później, gdy leżeliśmy na łóżku w jego pokoju, w domu rodzinnym, wróciłam do tego tematu.

rys. Izabela Sak

– Co robimy z naszymi emeryturami, to już chyba ustaliliśmy – stwierdziłam, patrząc na niego i kręcąc sobie swoje długie, blond włosy na palcu. – Ale chyba istnieje jeszcze jakieś życie pomiędzy tym, kiedy mamy dwadzieścia lat, a kiedy będziemy mieć sześćdziesiąt.

– Co byś chciała wiedzieć? – roześmiał się, a jego głos zabrzmiał męsko. Miał niski, ale jednocześnie łagodny ton.

– Gdzie będziemy mieszkać? – odpowiedziałam zdecydowanie. – Jak będzie wyglądało nasze mieszkanie?

Spodziewałam się, że zacznie się zastanawiać, próbując wymigać się od odpowiedzi. On jednak mówił tak, jakby na wszystko był przygotowany.

– Drzwi wejściowe będą prowadziły do salonu, połączonego z kuchnią. Tam będzie duży blat, na którym będziesz mogła swobodnie lepić pierogi. Za stołem i blatem kuchennym będą leżały duże szare poduszki, na których będziemy siedzieli, jedząc kolację na podłodze. Jak w Japonii. Na wprost będzie balkon. Z panoramą na Zieloną Górę. Albo jakiekolwiek inne miasto, jakie sobie wymarzysz.

– Tam też będą poduszki na podłodze? – przerwałam, podekscytowana.

– Tak. Cofając się do mieszkania, po lewej stronie od drzwi wejściowych będzie znajdowała się sypialnia. Duże, małżeńskie łóżko, przysunięte do ściany, na której powiesimy lustro. Tak, żebym mógł cię widzieć podczas seksu. Po obu stronach będą komody z szufladami na biały połysk.

– Marcin – przerwałam, kładąc mu palec na ustach.

– Jeszcze nie skończyłem – powiedział trzeźwym głosem, ujmując mój nadgarstek w swoją dłoń i ściągając moją rękę z jego ust. Jego opanowanie zawsze tak samo doprowadzało mnie do szaleństwa. Ja, kiedy czułam emocje, cała się trzęsłam, przeżywałam kilkanaście minut w ciągu minuty, gestykulowałam. A on potrafił po prostu patrzeć mi w oczy, napinać mięśnie w ciele i nie okazywać emocji.

– To zaraz skończysz – zaśmiałam się i uwolniłam swoją rękę z jego uścisku. Zaczęła powoli sunąć po jego klacie i brzuchu w stronę krocza. Marcin nawet nie spojrzał w dół. Przysunął się do mnie, chwycił mnie za włosy i odchylił głowę do tyłu. Oparłam się o ścianę, instynktownie rozchylając nogi. Przyssał się do moich ust. Całował mnie namiętnie, intensywnie, a gdy na chwilę przerwał, spojrzał mi prosto w oczy. Myślałam, że powie mi, że mnie kocha. Widziałam to w jego oczach.

– Odwróć się – usłyszałam zamiast tego. Jego pewność siebie i dominacja unosiły się powietrzu. Uległam im. Uklękłam na kolanach, wypinając tyłek w jego stronę. Seks z nim był odważny, ostry, a jednocześnie spokojny i kojący. Zasnęłam na jego kolanach.

30 lipca, 2015

Połowa jakiegoś okresu jest zawsze najbardziej magicznym czasem. Z perspektywy całego czasu, który jest przed nią, koniec zawsze wydaje się tak odległy. Budzi niecierpliwość, gdy czekasz na coś wspaniałego. Strach i niepokój, gdy czekasz na coś, czego się boisz lub nie chcesz.

Kiedy tylko mija połowa, czas zaczyna biec. Nie ma już czasu na ułożenie sobie myśli w swojej głowie, na szukanie rozwiązań ani na cieszenie się okresem oczekiwania. Wtedy

dopiero dostrzegamy wartość każdego dnia i zdajemy sobie sprawę, że zarówno w dobrych, jak i złych historiach, to proces czekania jest tym najlepszym i najgorszym.

To właśnie czekanie nas zabija. Wyniszcza. Stresuje.

Ale też czekanie nas nakręca, podnieca i dodaje skrzydeł.

Ja nie wiedziałam, że czekam na cokolwiek. Żyłam z Marcinem, jakby jutro nie istniało. Śmiałam się, gdy opowiadał sprośne żarty lub gdy z całych sił próbował mnie rozśmieszyć, naśladując mijających nas przechodniów, których obserwowaliśmy, wyłapując ich dziwne miny. Przytulałam się do niego, gdy po całym dniu zwiedzania wracaliśmy do domu autobusem. Czasem tramwajem na gapę. Śpiewałam piosenki na głos pod prysznicem, jednocześnie walcząc o oddech, gdy zaczynał mnie całować i ściskać moje piersi. Zamykałam oczy i pozwalałam, żeby wiatr tańczył z moimi włosami, kiedy jechaliśmy wypożyczonym miejskim rowerem, słuchając muzyki z podkręconym maksymalnie głośnikiem w starym telefonie.

Pewnego dnia Marcin zabrał mnie na domówkę do znajomych. Chciałam, żeby mu zazdrościli. Dzień wcześniej kupiłam w lumpeksie czerwony, letni, obcisły kombinezon, z nieregularnymi wycięciami w talii i na plecach. Tamtego wieczora modliliśmy się, żeby nikt nie wyszedł na klatkę o drugiej w nocy, a nasze odgłosy zostały zagłuszone przez dźwięki muzyki. Czułam się jak gwiazda i mimo że nie mieliśmy prawie grosza przy duszy, musząc na wszystkim oszczędzać, szczerze uważałam, że wygrałam los na loterii. Moje życie było pełne uśmiechu, wolności i przygody. Promieniałam, a wraz ze mną moja twarz, ciało i dusza.

Druga połowa wakacji minęła błyskawicznie. Obudziłam się 1 października o 7.30. To był dzień rozpoczęcia roku akademickiego.

2 października, 2015

Marcin odwiózł mnie autobusem na rozpoczęcie roku akademickiego pierwszego dnia października. Jechaliśmy przez Zieloną Górę, w galowych eleganckich strojach, podekscytowani nowym rozdziałem w życiu. Ja dostałam się na edukację artystyczną w zakresie sztuki muzycznej i planowałam zacząć prowadzić zajęcia z tańca dla dzieci, a później również dla dorosłych. Marcin zdecydował się na kierunek mechaniczny, ale we Wrocławiu. Twierdził, że tam będzie miał większe szansę na rozwój i na pracę, a za kilka lat pomoże mi otworzyć własną szkołę tańca.

Mieliśmy widywać się minimum raz w tygodniu, w weekend.

– Jesteś najpiękniejszą dziewczyną na kampusie, wiesz? – wyszeptał mi prosto we włosy, kiedy już miał odchodzić, zostawiając mnie na uroczystości.

– Najpiękniejsza dziewczyna pasuje do najprzystojniejszego faceta – odpowiedziałam słodko.

– Czyli mnie zostawiasz?

Roześmiałam się. Uwielbiałam jego dystans do siebie i to, że tak łatwo oddawał mi pozycję tej piękniejszej w naszym związku. Nie tryskał humorem aż tak często, potrafił być lub przynajmniej wydawać się zimny, opanowany, bez emocji. Dlatego gdy już mówił coś w lekkim tonie, było to jeszcze bardziej wyjątkowe.

– Tylko na te kilka dni – odparłam, patrząc mu prosto w oczy i gładząc jego włosy dłonią.

Pocałował mnie wtedy tak mocno, że prawie zakrztusiłam się własną śliną. Kilka minut później zniknął na horyzoncie.

Nigdy więcej go nie widziałam.

5 listopada, 2015

Nie opuściłam ani jednego dnia zajęć. Codziennie rano wstawałam, robiłam sobie kawę i jechałam na uczelnię. W weekendy uczyłam się. Czasem łzy kapały mi na notatki, a innym razem – kiedy nagle mój wzrok stawał się pusty i zamyślony – znajomi ze studiów pytali, czy coś się stało.

Wiedziałam, że muszę. Żyć, iść dalej i zapomnieć. Najgorsze było to, że nie rozumiałam dlaczego. Mój umysł potrzebował domknięcia. Dlaczego mnie zostawił, dlaczego zrobił to tak nagle? Czy planował to od samego początku, a może w ostatniej chwili zmienił zdanie? A co jeśli naprawdę coś się stało? Co jeśli wróci?

Wyobrażałam sobie różne scenariusze. Te, w których wraca kilka lat później, a ja wyglądam jak milion dolarów, mam świetną pracę, męża, a on prosi mnie o wybaczenie. Głęboko w środku czułam tę satysfakcję, gdy mówię mu, spokojnym, ale opanowanym i zdecydowanym tonem:

– Nie, Marcin. Jestem szczęśliwa bez ciebie, a twoje odejście to najlepsze, co mi się przydarzyło.

Chciałam, żeby poczuł się odrzucony, przegrany, zrezygnowany.

Innym razem widziałam go w swoich snach, jak wraca do mnie, zapłakany, tłumaczy mi wszystko, co się wydarzyło, a ja wpadam mu w ramiona, mówiąc, że wszystko mu wybaczam. On docenia moją wyjątkową miłość, i już od tamtej pory żyjemy razem.

10 maja, 2017

Po drodze, w mojej głowie, pojawiło się też kilka innych scenariuszy. Nie spełniał się żaden z nich. Marcin nie wracał i nic tego nie zapowiadało.

Myślałam o nim dużo rzadziej, ale wciąż wspomnienie wspólnych wakacji było żywe. Uczucia żalu, tęsknoty gdzieś powoli się rozmywały, znikały, chowając się za wydarzeniami dnia codziennego.

Pojawiali się inni mężczyźni. Były chwile, w których czułam się szczęśliwa, a i takie, w których czegoś mi brakowało.

Tego dnia, 10 maja, jechałam na warsztaty taneczne do Warszawy. Dzień był intensywny – jeden z tych, w których nie miałam czasu ani siły na myślenie o niczym innym.

Bartka poznałam w autobusie powrotnym do Zielonej Góry. Przyszłam na dworzec na ostatnią chwilę i w całym autokarze zostało już tylko jedno miejsce. Właśnie koło niego. Przysiadłam się, a on od razu zaproponował, że mogę usiąść koło okna, żeby było mi wygodniej.

– Aż tak widać, jaka jestem zmęczona? – zapytałam, próbując zmusić się do uśmiechu.

– Wcale – odpowiedział szybko. – Ale masz torbę treningową, więc pewnie byłaś w ruchu przez cały dzień.

Pokiwałam głową z uznaniem.

– Plus za spostrzegawczość.

– Dzięki. Dobranoc.

5 stycznia, 2018

Bartek oświadczył się po czterech miesiącach, we wrześniu. Byłam na uczelni w sprawie dokumentów i czekałam na

koleżanki, siedząc na schodach przed Wydziałem Artystycznym.

Ja rzuciłam dla niego studia i wyjechałam do Szwecji. On rozstał się ze swoją dziewczyną, z którą był, gdy poznał mnie w maju.

Zamieszkaliśmy na obrzeżach Sztokholmu. Czy myślałam o Marcinie? Co by było, gdyby…?

Myślałam. Kiedy razem z Bartkiem wracaliśmy wieczorem z aquaparku, mijając drzewa na tle zachmurzonego nieba, a w radio słyszałam *Autobiografię*. Za każdym razem, gdy piliśmy to samo wino, które pokazał mi Marcin. Czasem wtedy, gdy całował mnie po szyi, a ja odchylałam głowę w bok, uwalniając się od jego wzroku.

Czy byłam mniej szczęśliwa?

5 stycznia, 2019

– Przeprowadzamy się – oznajmił Bartek, wchodząc do naszego małego, wynajmowanego mieszkania, zastając mnie z książką na kanapie.

– Znowu do Zielonej Góry? – zażartowałam.

Nie odpowiedział. Pojechaliśmy na miejsce. Weszłam ostrożnie przez drzwi, z opaską zawiązaną na oczach.

Moim oczom ukazał się salon połączony z kuchnia. Z ogromnym blatem, w kolorze jasnoszarym, dopasowanym do reszty mebli. Na wolnej przestrzeni, za stołem, na podłodze leżały poduszki, w tym samym kolorze. Siadając na nich, idealnie naprzeciwko znajdowało się przeszklone wejście na balkon, a z niego panorama na Sztokholm.

– Pomyślałem, że ci się spodoba – skomentował Bartek, widząc mój zaskoczony wzrok. – Lubisz naturę, jedzenie.

– Podobno w Japonii jedzą na podłodze – odezwałam się, niewiele myśląc, próbując zagłuszyć swoje własne myśli.

Przeszliśmy do sypialni.

– Duże lustro nad łóżkiem, meble na biały połysk – rzuciłam, zanim Bartek otworzył drzwi.

Popatrzył na mnie skonsternowany.

– Skąd wiedziałaś?

Uśmiechnęłam się tajemniczo. Wzruszyłam ramionami.

– Wyśniłam to sobie.

Parsknął śmiechem i pogłaskał mnie po głowie, dając mi tym samym do zrozumienia, że traktuje moje słowa jako żart.

Popatrzyłam na mobilny głośnik JBL, leżący na parapecie.

– Przygotowałeś piosenkę na pierwszy taniec w naszym nowym mieszkaniu? – zapytałam.

– Przecież wiem, jak kochasz tańczyć. – To była potwierdzająca odpowiedź. Bartek nie cierpiał imprez ani tańca, ale czasem dla mnie wychodził poza swoją strefę komfortu.

– Mogę? – wzięłam do ręki jego telefon, żeby odpalić piosenkę.

– Jasne, wszystko gotowe.

Włączam przycisk „odtwarzaj" i słyszę pierwsze dźwięki, zapowiadające *Autobiografię*.

– Naprawdę to sobie wyśniłam – mówię trochę bardziej poważnie, chwytając Bartka za rękę.

On kręci głową z niedowierzaniem i politowaniem.

Nie mówię już nic więcej. Pozwalam mu być tym rozsądnym. Tym, który zawsze twardo stąpa po ziemi i potrzebuje dowodów.

Ja pozostanę naiwna. Do końca i jeszcze dzień dłużej.

Eugeniusz Kurzawa

***

buduję córce dom pomagam po prawdzie
podtrzymywać tylko niektóre krokwie
podaję gwoździe lub piłę ale ta niewielka
praca już zostanie w ścianach
ustawionych na łagodnym zboczu pod lasem
w ten sposób spełni się moje nieskromne
oczekiwanie
żeby czymś się w życiu zapisać

Nie lubię Warszawy

wracam z podróży
tam i z powrotem
choć jednodniowa to poważna
wyprawa zostawiam miejsce
dom ogród oswojony zachodni wiatr
lub śnieg kwitnące akacje w lesie
samochód na parkingu
odjeżdżam koleją w inny
dziwny pejzaż to nie jest
takie łatwe przejście przez te zmiany
można się nabawić choroby kesonowej
poczuć brak
czerwonych ciałek i zwymiotować
na widok warszawy chętnie
podejmuję natychmiastowy wysiłek
powrotu

po 20 II 2009

Napiera przeszłość

napiera przeszłość tak wiele czasu
chaotycznie nawarstwiającego się
z którym nie tylko ja sobie nie radzę
cały kraj przesunięty nad odrę nie wie co
z sobą począć głupieje od nadmiaru śliny
w ustach narodu rośnie pieśń i pleśń
i coraz bardziej czuję
jego niezdrowy oddech na plecach
coś się psuje od głowy od ran
a rano koguty pieją jak zwariowane
za oknem i tak znów wstaje nowy dzień
wśród jazgotu i frustracji

7 II 2009

Marcin Mielcarek

Lepiej późno niż wcale

Informacji, że mieszkający w Zielonej Górze Andrzej Draguła jest księdzem katolickim, czytelnik nie znajdzie w tomiku „Późny debiut". Jak i tego, że jest doktorem habilitowanym, profesorem Uniwersytetu Szczecińskiego, pracującym na Wydziale Teologicznym, autorem wielu książek.

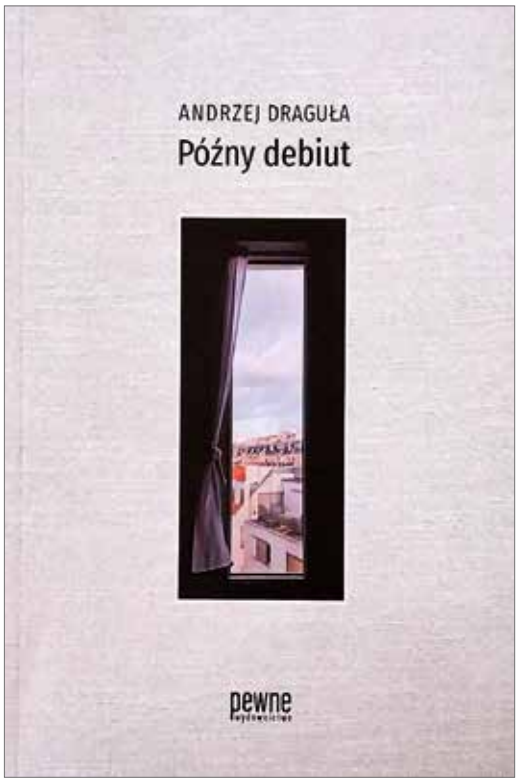

Andrzej Draguła, „Późny debiut", Wydawnictwo Pewne, Kielce 2025, 66 s.

„Późny debiut" jest tytułem nieco niefrasobliwym, a raczej nie do końca sprecyzowanym pod względem literackiej pracy Andrzeja Draguły, gdyż może wprowadzać nieobeznanego odbiorcę w błąd. Jest to oczywiście poetycki debiut, ale autora, nie księdza. Być może na tym polega cały misterny zabieg.

Jak to w przypadku poezji bywa, książka jest niezbyt opasła, ale za to z niezwyczajną, prostą i skromną okładką, dominująca szarość przypominająca graficznie fakturę płótna, a może całunu. Zawiera 42 wiersze.

W środku mamy do czynienia w całości z poezją narracyjną, snuciem wspominek i opowieści za pomocą zdań, ułożonych w formę krótkich, pozornie poszarpanych wersów. Wiersze jakie prezentuje podmiot liryczny nazwałbym krótkimi esejami czy esejami w pigułce, a może nawet eseistyczną hostią. Dawka filozoficzna zawarta w dominującej większości nie pozwala tego nie zauważyć. Odwołania do całego dorobku chrystianizmu nie powinny być tutaj zaskakujące i jest ich zdecydowanie najwięcej, ale już nieoczywiste wydaje się wykorzystywanie motywów z szeroko pojętej kultury masowej, ale też przede wszystkim czerpanie z antycznego pogaństwa, a raczej greckiej mitologii – głównie kilka wierszy podpisanych nazwą Platamonas, grecką miejscowością. Chwyty poetyckie, to znaczy środki stylistyczne jakimi raczy nas w swoich utworach podmiot, to przede wszystkim wyliczenia i powtórzenia, a także anafory. Ich zastosowanie w takiej formule nakierowują na jedną, szczególną formę modlitwy. Litania. Wiele wierszy ma w sobie coś z litanii. Porównania, epitety i metafory występują, ale nie stanowią o sile wierszy. Ich mocą jest podobna do prozatorskiej narracja. Większość poematów wykazuje się ponadto konfesyjnością. Polemika z wagą i szczerością powołania do kapłaństwa, odwołania do dzieciństwa, poczucie osobistej straty czy spostrzeżenia otaczającej rzeczywistości. Pierwszy wiersz, nie posiadający tytułu, wydaje się ciekawy ze względu na swoje praktyczne zastosowanie. Jest w pewnym sensie formą wprowadzenia odbiorcy, a nawet swoistą ontologią twórczości. Owy wiersz odsłania przed nami tajemniczość związaną z procesem poetyckiego natchnienia, którego przykładem będzie tutaj poszargany przeze mnie cytat: „Moje wiersze nie budzą mnie we śnie / (...) / przychodzą nocą kiedy śpię / by nie zabierać czasu". Tego typu zabiegiem, już na samym początku, otrzymujemy pewnego rodzaju wyznanie, a raczej przyznanie, literackiej wiary. Podobną funkcję, czyli niejako spowiedzi, wyznania, pełni ostatni wiersz zamykający tom, a raczej przedostatni, tytułowy.

Szczególnie interesujący jednak, być może wcale nie najlepszy, ale taki, który w pewnym sensie poruszył mnie osobiście, bo i mnie dopadły podobne spostrzeżenie zaraz po okresie świątecznym, jest poemat o wszelkiego typu gatunkach iglastych drzew, które zamieniono w końcu na kompost – większości nawet nie pozwolono nosić miano choinek. Marnotrawstwo przecież jest grzechem i nie trzeba być teologiem, aby to rozumieć.

Podmiot liryczny ujawnia też swoje zainteresowanie doczesnością, czego przykładami są wiersze traktujące o ostatnich wydarzeniach, mających miejsce w kraju czy na świecie. Wspomnienie o powodzi na Odrze, wojnie, igrzyskach paralimpijskich czy wspominki z okresu, kiedy wydawało nam się, że nastały czasy nowoczesnej, czarnej śmierci. Pozostając więc w tematyce mors – nadmienię przy okazji, że podmiot chętnie wtrąca wersy i słowa w językach obcych; subtelne świadectwo wykształcenia.

Śmierć papieża – przy tym wierszu chciałbym się zatrzymać. Wydaje się on na pierwszy rzut oka wtrącony, jakby wrzucony na ostatnią chwilę, Wrażenie to potęguje nawet fakt, że pojawia się on już po ilustracji wieńczącej tomik. Śmierć jest naturalnym zakończeniem, czymś poza władzą człowieka, władzą poety. Jednakże ten trop może być ślepy, bo jeżeli dobrze interpretować to, że podmiot i autor jest tożsamy, śmierć nie powinna być czymś ostatecznym, przynajmniej nie w rozumieniu chrześcijańskiej koncepcji świata. Czym jest więc śmierć, wiersz o śmierci papieża? Zapowiedzią nowego życia po śmierci, czyli najprościej to pojmując: zapowiedzią nowego tomiku.

„Późny debiut" więc, chociaż późny, nie będzie ostatnim poetyckim dziełem autora, a raczej konkretnym i przytomnym początkiem. A. Draguła tylko pozornie traci coś, co doświadczają młodzi poeci. Poczucie, że ich debiut był niedojrzały. Tego poeta sobie oszczędził. „Późny debiut" cechuje się przede wszystkim dojrzałość.

Artyści na muzealnych kartkach

Muzeum Ziemi Lubuskiej gromadzi, bada i opiekuje się obiektami mającymi wartość historyczną i artystyczną. Organizuje konferencje, spotkania, koncerty, Oprócz tego prowadzi działalność wydawniczą. Ostatnio ukazało się kilka ciekawych publikacji, przygotowanych przez pracowników MZL.

Marian Kruczek był malarzem, grafikiem, rzeźbiarzem i twórcą technik własnych. Zielona Góra odgrywała istotną rolę w twórczej biografii artysty. Od samego początku brał udział w wystawach i sympozjach Złotego Grona. Na IV edycji w 1969 roku zaprezentował asamblaż „Siwiec-Zaklęcie", który później wzbogacił zbiory Muzeum Ziemi Lubuskiej. W drugiej połowie lat 70. artysta został zaproszony do udziału w Zielonogórskich Spotkaniach Rzeźbiarskich oraz przygotował ambitną koncepcję plenerowej rzeźby dedykowanej miastu, jednak projekt nie doczekał się realizacji, pozostał po nim jedynie model „Spalone szczęście" uznawany za pierwowzór planowanego monumentu. Czas tych działań zaowocował również nawiązaniem znajomości z dr. Janem Muszyńskim, dyrektorem MZL. To spotkanie stało się początkiem ich bliskiej współpracy. W instytucji od 1977 r. powstawała galeria Kruczkowina, której aranżację projektował sam twórca, nadając jej charakter artystycznego sanktuarium. Śmierć M. Kruczka w 1983 r. przerwała prace nad wystawą, lecz galeria została ukończona trzy miesiące później i do dziś jest jednym z najważniejszych punktów MZL. Jest to jedna z największych w Polsce kolekcji dzieł tego artysty, obejmująca 105 rzeźb, reliefów i asamblaży. Dzięki temu Zielona Góra stała się jednym z kluczowych miejsc zarówno rozwoju, jak i prezentacji jego sztuki.

Katalog poświęcony twórczości M. Kruczka to obszerne opracowanie, które łączy analizę artystyczną z bogatym materiałem dokumentacyjnym. We wstępie Leszek Kania przedstawił biografię artysty i podkreślił znaczenie jego dorobku dla polskiej sztuki współczesnej oraz dla kolekcji MZL. Jacek Gernat dogłębnie przeanalizował twórczość artysty, zwracając szczególną uwagę na galerię Kruczkowina. Część „Miscellanea" zawiera ciekawostki i anegdoty ukazujące osobowość artysty, a „Archiwalia" prezentują dokumenty, zdjęcia i korespondencję związane z jego działalnością. Uzupełnieniem jest szczegółowy biogram, pełen katalog prac znajdujących się w muzealnej kolekcji, streszczenie w języku angielskim i bibliografia.

„Marian Kruczek (1927-1983)", red. J. Gernat, L. Kania, Zielona Góra 2024, 136 s.

We wrześniu 2025 r. Muzeum Ziemi Lubuskiej zaprosiło publiczność na wyjątkową wystawę dzieł Nikifora Krynickiego (Epifaniusza Drowniaka, 1895–1968) – ikony malarstwa naiwnego realizmu. Wydarzenie, przygotowane z okazji 130. rocznicy urodzin artysty, stało się hołdem dla jego niezwykłego dorobku i talentu. Wystawa „Nikifor. Fenomen samorodnego talentu" powstała w oparciu o prywatną kolekcję Roberta Dowhana, obejmującą 50 kameralnych prac, w większości z okresu międzywojennego – uważanego za najlepszy etap w twórczości Nikifora. Ekspozycja była wyjątkową okazją do odkrywania fenomenu „Matejki z Krynicy", który dzięki nieposkromionej wyobraźni i wyczuciu koloru zyskał uznanie na całym świecie. Warto podkreślić, że ostatnia prezentacja jego dzieł w Zielonej Górze odbyła się przeszło ćwierć wieku temu.

Wspaniałym uzupełnieniem wystawy stał się katalog będący kompleksowym opracowaniem łączącym refleksję nad życiem i twórczością – „malarskim imaginarium" Nikifora (autorstwa Mart Gawędy-Szymaniak, kuratorki pokazu) – z materiałem dokumentacyjnym i ikonograficznym (w tym również „Miscellanea" na temat artysty). Publikacja prezentuje 50 prac, które ukazują przekrój twórczości i wyjątkowy styl Nikifora. Zawiera zarówno fantastyczne pejzaże i panoramy miast, jak i nastrojowe widoki Krynicy z charakterystycznymi willami i pensjonatami, a także liczne sceny sakralne, religijne i rodzajowe, w tym „Nabożeństwo z biskupem", „Liturgię wielkopiątkową" czy „Nikifora przy ołtarzu". Katalog obejmuje też prace ukazujące życie codzienne i sceny uliczne, wnętrza wiejskich domów oraz intymne portrety artysty, takie jak „Nikifor w drodze" czy „Nikifor w ornacie". W zbiorze znajduje się ponadto unikatowy „List proszalny" z pieczęcią Nikifora.

Dzięki muzealnemu wydawnictwu można lepiej poznać wyobraźnię twórcy i jego niepowtarzalny talent, który pozwalał mu jednocześnie przedstawiać rzeczywisty świat oraz fantastyczne wymyślone przestrzenie – motywy, które stały się znakiem rozpoznawczym Nikifora.

AP-W

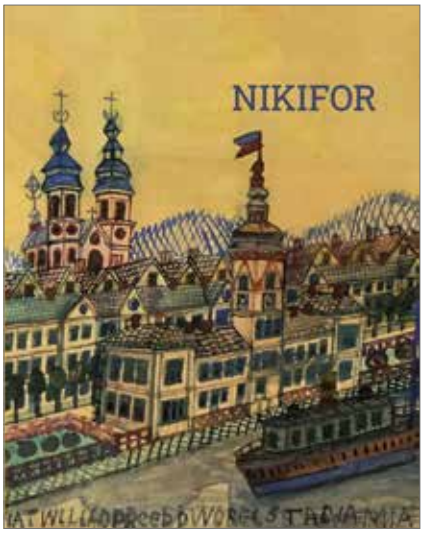

„Nikifor. Fenomen samorodnego talentu". Prace z kolekcji Roberta Dowhana, teksty: R. Dowhan, M. Gawęda-Szymaniak, L. Kania, Zielona Góra 2025, 121 s.

Izabela Sak

Pasja i chęć tworzenia rozkwita w każdym wieku

Gdy praca zawodowa nie stoi ci na przeszkodzie lub jesteś już na emeryturze, nie wahaj się. Znajdź grupę ludzi o takich samych zainteresowaniach jak masz ty i pod okiem instruktora zacznij działać, aby do końca życia nie żałować swoich niespełnionych pasji.

Zdarza mi się słyszeć od seniorów o ich wątpliwości, czy warto zaczynać naukę w tak późnym wieku. Ale ta ,,późna" decyzja okazuje się być kluczem do twórczego odrodzenia. To niesamowite, jak pasja potrafi rozkwitnąć w każdym wieku, gdy damy sobie szansę.

W pracy z seniorami stale trzeba mierzyć się nie tylko z wyzwaniem artystycznym, lecz i socjologicznym. Każde spotkanie to wspomnienia, opowieści, wymiana doświadczeń, myśli. To też naturalna wzajemna nauka. Często mówię uczestnikom, że sztuka to nie tylko tworzenie pięknych obrazów, lecz także rozwijanie zdolności patrzenia na świat z różnych perspektyw i zwracanie uwagi na to, czego nie widzą inni.

Jako instruktor dowiaduję się od uczestników, jak nowo odkryta pasja wpływa na ich życie rodzinne. Ich bliscy czują radość z zaangażowania, na przykład mamy, babci, siostry w fascynujące zajęcie. Wreszcie nie muszą się martwić o prezenty, bo farby i pędzle zawsze są strzałem w dziesiątkę. Z drugiej strony też dzieci, wnuki czy współmałżonkowie często stają się krytykami ich prac – szczerze i do bólu. „Och, babciu, to ci nie wyszło, ale nie martw się, następnym razem będzie lepiej" – takie słowa nie tylko wywołują uśmiech, lecz również motywują seniora do dalszego działania. A gdy babcia spełnia prośbę i z miłością maluje wymarzony obrazek, opowiadając o radosnej reakcji wnucząt, to właśnie jeden z tych momentów, gdy czuję, że nauka malarstwa ma sens.

Ciekawą inicjatywą okazuje się zapoznawanie grupowiczów ze znaczeniami tzw. trudnych słów z historii sztuki. Z satysfakcją opowiadają potem, jak błysnęły przy rozwiązywaniu krzyżówek, znając chociażby takie słowa jak nokturn, tondo czy sztafaż.

W naszej malarskiej grupie wytworzyła się także wyjątkowa atmosfera wzajemnego wsparcia i inspiracji. Tu można podzielić się nowościami o najlepszych farbach, pędzlach czy miejscach, gdzie można znaleźć najciekawsze akcesoria. To cenne informacje.

Zajęcia z malarstwa to również niewątpliwie rodzaj terapii, gdzie pozytywnie ładuje się akumulatory lub celowo wycisza. Nauka szerszej percepcji i dodatkowej wrażliwości otwierają seniorom nowe horyzonty postrzegania rzeczywistości. Jest to niezwykle ważne, zwłaszcza w wieku, w którym wiele osób nadal odczuwa potrzebę spełnienia i rozwoju. Dla jednych te zajęcia to odskocznia od codziennych obowiązków, dla samotnych – sposób na spędzenie czasu w dobrym towarzystwie. A dla mnie? To ogromna radość i satysfakcja, gdy widzę, jak pokonują opory, jak z nabytą pewnością siebie osiągają kolejne poziomy warsztatu malarskiego. I to jest właśnie magia mojej pracy – odkrywanie ukrytych talentów i możliwości.

Oprócz regularnej nauki w ciągu roku grupowicze mogą też uczestniczyć w wydarzeniu takim jak letni plener malarski. Podczas tygodniowego wyjazdu istnieje wyjątkowa możliwość przebywania z innymi malarzami amatorami i profesjonalistami. Taka integracja w nowym kręgu jest niezwykle cenna. Wzajemna obserwacja procesów twórczych, technik malarskich innych artystów wzbogaca własny warsztat i doświadczenia. Samodzielne malowanie na plenerze to swojego rodzaju sprawdzian wcześniej nabytej wiedzy i umiejętności oraz ważny, nieodzowny aspekt w życiu każdego malarza.

Jednak największym ukoronowaniem pracy malarskiej jest niewątpliwie wystawa i prezentacja powstałych obrazów szerszej publiczności w miejscach związanych z kulturą. To sposobność, aby sami twórcy zobaczyli swoje obrazy w zupełnie innej perspektywie, wnętrzu, świetle i konfiguracji. To też doskonałe okoliczności, aby dowiedzieć się, co o pracach sądzą goście. Malarze mojej grupy z satysfakcją prezentowali swoje obrazy na otwartych wystawach.

Gdy potrafisz szczerze dzielić się swoją wiedzą, pasją i doświadczeniami, to wraca do ciebie to, co dajesz w postaci efektów pracy i rozwoju uczniów. Od razu uruchamia się zasada wygrany-wygrany, a to ogromna niemierzalna wartość dodatnia. Dlatego w mojej grupie każdy może powiedzieć o sobie ,,a ja rosnę i rosnę" i nie chodzi tu o centymetry.

Czy warto więc zacząć malować po pięćdziesiątce, sześćdziesiątce, jeszcze później? Zdecydowanie tak! Nieważne, czy ma się doświadczenie, czy nie – sztuka to przestrzeń, gdzie wiek nie ma znaczenia, a liczy się jedynie pasja i chęć tworzenia.

Ukoronowaniem pracy malarskiej jest wystawa i prezentacja powstałych obrazów publiczności

Pałac nakryty szklanym dachem

W powieści „Pomsta" Alfreda Siateckiego (I wydanie 2017, II – 2021) ruiny zatońskiego pałacu po odbudowie stały się centrum konferencyjnym. W rzeczywistości dopiero w 2025 roku ruiny doczekały się szklanego zadaszenia i oczodoły okien wypełniły szyby.

Historia związana z pałacem na zielonogórskim Zatoniu zaczęła się w 1689 r., kiedy Baltazar von Unruh postawił dwukondygnacyjny dwór, nakryty czterospadowym dachem. Po jego śmierci dobra zatońskie kupił Gottlieb von Scopp z Przecławia. W 1771 r. właścicielką została hrabina von Cosel z Zaboru. Co kilkanaście lat zmieniali się gospodarze. W 1809 r. dobra nabył Piotr Biron z przeznaczeniem na posag dla najmłodszej córki Doroty, żony Maurycego Talleyranda-Périgord, późniejszej księżnej de Dino. To z jej inicjatywy w 1842 r. dwór został przebudowany i stał się trzykondygnacyjnym pałacem z płaskim dachem. Wtedy też powstała oranżeria, cieplarnia i park krajobrazowy. Księżna mieszkała tu do 1844 r., kiedy objęła w posiadanie księstwo żagańskie. W 1862 r. właścicielem Zatonia został Aleksander Edmund markiz de Talleyrand-Périgord. Kolejni gospodarze to Karol Rudolf von Friedenthal i jego córka Renata baronowa von Lancken-Wakenitz. Owdowiała baronowa mieszkała w pałacu nawet w czasie II wojny światowej. Prawdopodobnie wtedy obiekt był wykorzystywany przez wojskowe służby specjalne III Rzeszy. W chwili podpisywania aktu kapitulacji Niemiec pałac był w dobrym stanie. Zdaniem jednych wracający z wojny czerwonoarmiści podpalili pałac właśnie dlatego, że służył Abwerze. Inni powtarzają, że baronowa mieszkała w nim po zakończeniu wojny, a dewastacja zaczęła się po jej śmierci. Von Lancken-Wakenitz opuszczona przez dawną służbę, miała opiekę nowych mieszkańców. Zmarła prawdopodobnie pod koniec 1945 r. Kto zrujnował pałac? I dlaczego dopiero po 72 latach coś zaczęło tam się dziać?

Pierwszą czynnością po połączeniu miasta z gminą wiejską, do której należało Zatonie, był remont ogrodzenia pałacu. Następna to rewitalizacja parku, oczyszczenie ruin pałacu z gruzu i zabezpieczenie budowli przed dewastacją. W 2020 r. w dawnej oranżerii już była kawiarnia, a parkowymi alejkami zaczęli spacerować mieszkańcy powiększonego miasta. Od tego roku w ruinach pałacu zaczęły odbywać się koncerty, spektakle, wystawy, spotkania projekcje filmów, tak z inicjatywy miejskich instytucji, jak i Stowarzyszenia Nasze Zatonie oraz Fundacji Ogrody Kultury. W 2021 r. w krajowym konkursie na zadbany zabytek park otrzymał wyróżnienie.

Kolejna korzystna zmiana miała miejsce w 2025 r. Wtedy nad trzecią kondygnacją ruin pałacu został wykonany wieniec żelbetowy, na nim została oparta stalowa konstrukcja. Na niej na powierzchni 740 metrów kwadratowych ułożono zadaszenie ze szkła hartowanego. Każda tafla ma 6 mm grubości. Również okna doczekały się szklanego zabezpieczenia. Jedyne wolne przestrzenie są tam, gdzie znajdują się otwory na drzwi. Oznacza to, że bez względu na pogodę i porę dnia od wiosny do jesieni w ruinach pałacu mogą odbywać się imprezy.

Zatonie, mające swoisty urok i specyficzny klimat, prezentuje się coraz ciekawiej. W weekendy, nie tylko od wiosny do jesieni, lecz i zimą trudno tam znaleźć wolne miejsce na parkingu.

DJ

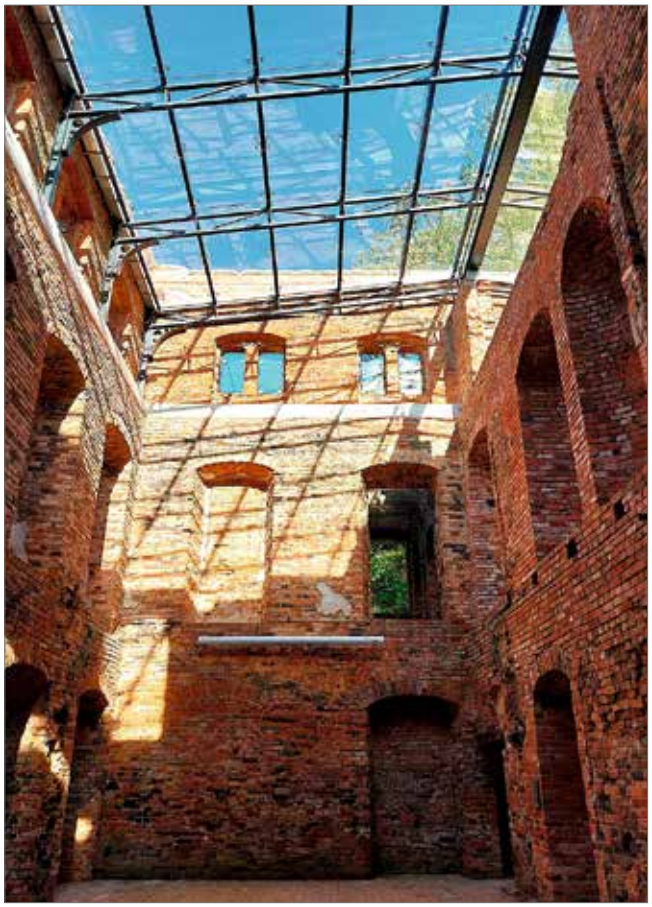

Dach pałacu został przykryty hartowanym szkłem

fot. Daniel Jung

Szklane tafle wypełniają otwory okienne

Krzysztof Koziołek

Misja pod samym niebem

Drony są teraz odmieniane przez wszystkie przypadki. Także w Zielonej Górze, a to za sprawą firmy, która rozwija tę nowoczesną technologię i wykorzystuje ją na wielu frontach, nie tylko tym wojskowym.

O dronach zrobiło się naprawdę głośno po tym, jak stały się jednym z najważniejszych elementów wojny prowadzonej w Ukrainie. Ale ta nowoczesna technologia jest używana nie tylko na polu walki. Drony mogą też ratować życie i zdrowie ludzi, a nawet walczyć z wandalizmem.

– To jest nowoczesna technologia, która ma praktyczne zastosowanie w służbie bezpieczeństwa i ochrony życia – podkreśla Kamil Plona, jeden z właścicieli firmy technologicznej Halo Bird. Zielonogórska spółka powstała w 2024 roku, ale już zdążyła zyskać rozgłos i renomę. Stało się tak między innymi za sprawą dziesiątek misji prowadzonych przez jej pracowników na Dolnym Śląsku i Ziemi Lubuskiej podczas ubiegłorocznej powodzi. To właśnie drony z Halo Bird namierzyły 278 przecieków w wałach przeciwpowodziowych. Dzięki termowizji zrobiły to o wiele wcześniej, niż udałoby się to służbom mundurowym i wolontariuszom monitorującym teren.

Drony – nowoczesna technologia wykorzystywana między innymi do poprawy bezpieczeństwa *fot. Archiwum Halo Bird*

Szkolą tu żołnierzy

– Do tej pory standardem było, że drony robiły zdjęcia wałów, które potem ktoś oglądał i opracowywał. My to zmieniliśmy. Kiedy stan wody był jeszcze wysoki, nasze drony obleciały kilometry wałów, podając bardzo dokładne namiary miejsc, które należało uszczelnić, a służby mogły to zrobić od razu – wyjaśnia K. Plona. Szeroko rozumianą elektroniczną i automatyką zajmował się „od zawsze". Potem przyszedł czas, gdy zainteresował się dronami. Przez osiem lat były jego pasją, która z czasem przerodziła się w pracę zawodową.

Halo Bird swoją siedzibę ma w zielonogórskim Parku Technologii Kosmicznych. Tutaj, razem z parkiem, stworzyła też centrum szkoleniowe. Szkoli w nim chociażby żołnierzy, by potrafili samodzielnie zaprojektować drona, wydrukować jego szkielet na drukarce 3D, zamontować potrzebne oprzyrządowanie i sprawdzić czy działa. – Przy okazji takiego szkolenia żołnierze uczą się też zasad działania dronów. Ta wiedza pozwoli im dokonać niezbędnych zmian w projekcie, gdy zajdzie taka potrzeba na polu bitwy – podkreśla K. Plona.

Firma organizuje także konferencje i wydarzenia branżowe, wszystko po to, aby nową technologię – w tym drony i samoloty bezzałogowe – mogło poznać wojsko, służby mundurowe, a także świat nauki oraz przedstawiciele samorządów.

Na ratunek strażakom

Przykładem są chociażby opracowywane w Zielonej Górze stacje monitorowania powietrza podczepiane pod małe drony. – Mogą je na przykład wykorzystywać strażacy, by zbadać skład dymu, z jakim mają do czynienia podczas pożaru, zanim jeszcze wejdą do akcji – wyjaśnia K. Plona.

Inny produkt Halo Bird to analizator RF – niewielki sprzęt, który potrafi wykryć na polu walki, czy ktoś z własnych żołnierzy nie łamie ciszy radiowej (np. nie wysyła esemesów do małżonki, partnerki lub nie skroluje mediów społecznościowych).

– W krytycznym momencie coś takiego może ocalić wiele ludzkich istnień. Powinna nim dysponować każda drużyna, szczególnie w czasie wojny – przekonuje K. Plona.

Inne zastosowanie dronów to chociażby projekt Bezpieczne miasto. W jego ramach wyposaża się dany teren w siatkę dronów i stacji dokujących, cały system jest monitorowany przez 24 godziny na dobę. Cel to wspomaganie służb ratunkowych, weryfikacja zgłoszeń na numer alarmowy czy walka z aktami wandalizmu.

Wszystkie takie projekty – kierowane na rynek wojskowy czy cywilny, opracowuje się właśnie tutaj.

– Mamy mocny zespół. Specjalistów od budowy dronów, fachowców od elektroniki, programistów, a nawet ekspertów od prawa lotniczego – wylicza K. Plona.

To jest przyszłość

Choć firma działa stosunkowo krótko, jej wkład w budowanie nowoczesnych standardów zarządzania kryzysowego i ochrony ludności jest już zauważalny na arenie krajowej.

– Świadczy o tym choćby fakt, że Halo Bird jest jedną z dwudziestu ośmiu polskich firm wybranych do tworzenia Tarczy Wschód – zauważa K. Plona.

A skąd wzięła się nazwa Halo Bird? Jej twórcy szukali określenia, które by się dobrze kojarzyła.

– Nie z czymś złym czy strasznym, jak drony wykorzystywane w Ukrainie. Bo przecież można je wykorzystywać także w dobrych celach – zaznacza K. Plona. Jego marzeniem jest to, aby nauka o dronach weszła do programu szkół mundurowych. – Drony wspomagane sztuczną inteligencją dają naprawdę dużo możliwości. To jest nasza przyszłość – podkreśla.

Alicja Błażyńska

Ul. Bohaterów Westerplatte 21A/23

Od 30 lat istnieje w Zielonej Górze bar Schabik i cieszy się niesłabnącym powodzeniem wśród amatorów dobrego jedzenia. Przez 20 lat znajdował się w Domu Towarowym „Centrum", a od 2015 roku w sąsiadującym Centrum Biznesu.

W 2025 r. mija 30 lat działalności kultowego już baru Schabik. Przez pierwszych 20 lat mieścił się on w pasażu Centrum. Budynek postawiony w 1976 r. miał być symbolem sukcesu ekipy Edwarda Gierka. Późniejszy kryzys gospodarczy i polityczny sprawiły, że budynek dla wielu mieszkańców miasta jest dziś wspomnieniem długich kolejek po reglamentowane towary. Po upadłości Centrum i sprzedaży obiektu najemcy dostali wypowiedzenie. Działający już 20 lat bar został przeniesiony 50 metrów dalej do biurowca byłego Komitetu Wojewódzkiego PZPR, noszącego nazwę Centrum Biznesu. Obie lokalizacje otoczone parkingami i dobrą komunikacją miejską sprzyjały stałym klientom i nie musieli zmieniać gustów kulinarnych.

Z pomysłem na działalność gastronomiczną przyszedł do Jerzego Abramowicza jego kolega Dariusz Antkowiak, mający zmysł i talent do gotowania, a także doświadczenie, gdyż wcześniej prowadził dwie szaszłykarnie. Spróbowali i bardzo szybko okazało się, że kucharzenie stało się powoli wspólnym hobby obu panów. Od początku postawili na jakość – dobre produkty i urozmaicone potrawy. To, co do tej pory było symbolem gastronomii barowej – bigosy czy fasolka po bretońsku – u nich nie miało racji bytu. Obiekt był otwarty przez siedem dni w tygodniu do godziny 21. W porze obiadu o wolnym stoliku nie było co marzyć, szczęście miały pary, którym udało się usiąść razem. Oprócz prowadzenia działalności gospodarczej wspólnicy zaczęli uczestniczyć w zawodach w grillowaniu, na przykład w Szwajcarii, w Zakopanem. Tak opanowali tę technikę przyrządzania potraw, że zostali mistrzami Polski. O ich osiągnięciach świadczą liczne dyplomy zdobiące ściany Schabika. W ich kuchni terminowało wielu przyszłych właścicieli restauracji. Od 22 lat szefową kuchni Schabika jest Joanna Mozol, oddana i kompetentna osoba, która nie tylko posiada stosowne certyfikaty, ale również wyobraźnię i odwagę. A te cechy – jak mówi J. Abramowicz – decydują o jakości potraw.

Od dekady bar mieści się na parterze Centrum Biznesu, wpisanego już do ewidencji zabytków. Obiekt został zaprojektowany przez Mikołaja Kokozowa w latach 1951-1952 i jest jednym z najciekawszych przykładów budownictwa socrealistycznego.

Po przenosinach na nowe miejsce z interesu wycofał się D. Antkowiak. Jednak jako były sportowiec (w młodości trenował zapasy w wadze do 100 kg m.in. w Legii Warszawa) podjął wyzwanie i kontynuował prowadzenie baru. Jego dzień pracy zaczyna o szóstej. Wtedy jedzie na giełdę i do hurtowni po zakupy. Do dziesiątej ustala jadłospis z szefową kuchni. Codziennie do wyboru są trzy dania obiadowe na talony oraz osobny jadłospis z karty. Firmowym daniem jest schabowy z kością, na który mięso kupuje u wybranego hurtownika. I faktycznie, gdy w ofercie pojawia się kotlet, to wybiera go większość klientów. Zwłaszcza że towarzyszy mu młoda, zasmażana kapusta z koperkiem. Uznaniem cieszą się też znakomite grillowane polędwiczki, sałatka wiosenna czy ręcznie lepione pierogi przez panią Mozol.

Pytany o najtrudniejszy moment. J. Abramowicz odpowiada: – Najtrudniej było w czasie pandemii. Trzeba było wprowadzić odpowiednie zabezpieczenia, maseczki, maty, odkażacze, ekran na bar. Obroty spadły o 70 procent, a zatrudniałem pięcioro pracowników, którym trzeba było zapewnić zarobki. Wyszliśmy wtedy z ofertą dowozu dań do klientów. Sam zająłem się transportem. Nie miałem żadnego zysku, chciałem to tylko przetrwać. I udało się!

Teraz jest spokojniej, choć bez szaleństwa finansowego. Na co dzień właściciela można spotkać w lokalu. Siedzi przy stoliku obok bufetu i ma baczenie na wszystko, co się dzieje w barze. Latem przenosi się do ogródka przed wejściem.

Trzydziestolecie to piękny jubileusz dla instytucji gastronomicznej. Jednak Schabik znalazł się znowu przed zakrętem. Miasto po wykupieniu pozostałej części budynku od drugiego właściciela ma nowe plany w odniesieniu do Centrum Biznesu Koncepcja jest taka, aby znalazł się tam m.in. Wydział Komunikacji i Wydział Spraw Obywatelskich. Właściciel baru jest otwarty na propozycje Urzędu Miasta i – jak mówi – dostosuje się do nowych oczekiwań. Ma jednak nadzieję, że uda się pozostawić lokal na starym miejscu i będzie służyć usługami gastronomicznymi instytucji, jej pracownikom, klientom oraz mieszkańcom miasta.

fot. Alicja Błażyńska

Schabik mieści się na parterze wpisanego do rejestru zabytków gmachu byłego Komitetu Wojewódzkiego PZPR, który jest przykładem budownictwa socrealizmu. Budynek stoi w miejscu, gdzie dawniej były ogrody.

Iwona Peryt-Gierasimczuk

Życie artysty w odsłonach

Ryszard Peryt, reżyser operowy i teatralny, aktor. Autor inscenizacji oper barokowych, klasycznych, XIX – i XX-wiecznych oraz dzieł oratoryjnych, w tym kilkunastu polskich i światowych prawykonań. Jako jedyny na świecie wystawił wszystkie opery Wolfganga A. Mozarta. Inscenizował również wszystkie zachowane dzieła sceniczne Claudio Monteverdiego. Ponadto opracowywał scenografię, ruch sceniczny, przygotowywał adaptacje, pisał libretta, scenariusze i dialogi.

Urodził się 9 marca 1947 r. w Zielonej Górze, o której trochę dla żartu, trochę z przekory lubił mówić Monte Verde. Być może to skojarzenie z Monteverdim i językiem jego oper. Wszak wystawił wszystkie.

Czas edukacji, to także czas jego harcerskiej przygody z Makusynami. Zanim przekroczył próg warszawskiej PWST, studiował chemię na Uniwersytecie Warszawskim. Dostał się bez egzaminu jako laureat Olimpiady Chemicznej. Po roku okazało się, że chemia ponad licealne doświadczenia już go nie pociąga.

Dyplomy w szkole teatralnej pod kierunkiem prof. Reny Tomaszewskiej, prof. Aleksandra Bardiniego i prof. Jana Świderskiego przyciągały publiczność. Warszawscy studenci oblegali je, bo nazwiska gwiazd sceny teatralnej, ale jeszcze bardziej fakt, że studenci PWST należeli do pokolenia Marca'68. To przecież R. Peryt, Małgorzata Dziewulska i Andrzej Seweryn manifestowali pod Teatrem Narodowym Kazimierza Dejmka, trzymając własnoręcznie wykonany transparent z napisem „Żądamy dalszych przedstawień Dziadów".

R. Peryt ukończył warszawską PWST w 1970 r. i został aktorem. Wraz z trójką przyjaciół w Puławach założył teatr. Z czasem do niego, Piotra Cieślaka i Ewy Bensz dołączyli: Jadwiga Cieślak-Jankowska, Paweł Targiel, Jan Tomaszewski i Wojciech Wysocki. Więcej niż skromne warunki pracy, kontakty z opozycją i środowiskiem katolickim doprowadziły do konfliktów z dyrekcją Azotów i… likwidacji sceny.

R. Peryt nie zraził się niepowodzeniami i za namową Macieja Prusa pojawił się w nowo powstałym Teatrze Muzycznym w Słupsku, gdzie połączył w jeden wieczór dwie komedie muzyczne Wolfganga A. Mozarta, „Bastiena i Bastienne" oraz „Dyrektora teatru". W rozmowie z Anną S. Dębowską powiedział: „:Swój pierwszy mozartowski spektakl zrobiłem w 1977 r. w Słupsku. To był mój debiut jako reżysera operowego. Właśnie wtedy zrozumiałem, że Mozart to chleb, który będę jadł przez całe moje życie. Moim celem stał się projekt realizacji wszystkich dzieł scenicznych Mozarta".

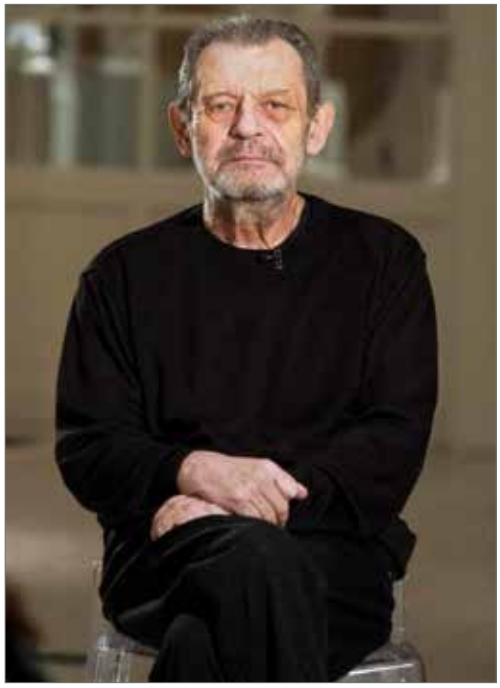

Ryszard Peryt(1947-2019) jest patronem Szkoły Podstawowej nr 6 w Zielonej Górze przy ul. Świętej Kingi 1

Jacek Marczyński uważa, że słupskie doświadczenie R. Peryta w reżyserii operowej, to preludium do „Joanny d'Arc na Stosie" Arthura Honeggera w Teatrze Wielkim w Poznaniu. Zapewne, skoro „Teatr" uznał ją przedstawieniem roku 1979.

Sukces *„Joanny"* zapoczątkował trwającą 25 lat współpracę ze scenografem Andrzejem Sadowskim. Z Operą Poznańską, później Teatrem Wielkim współpracował przez kolejne ponad dziesięć lat. Jego spektakle z tego okresu zaliczane są do najwybitniejszych osiągnięć polskiej reżyserii operowej XX w.

Od lat 80. współpracował również z innymi teatrami operowymi w Polsce i na świecie. Reżyserował w Warszawie, Łodzi (m.in. światowa prapremiera „Lo sposo Denuso" W.A. Mozarta w Teatrze Wielkim), „Nabucco" G. Verdiego w Gdańsku, Bydgoszczy, Gdyni, a za granicą na scenach operowych Niemiec, Szwajcarii, Włoch, Korei, w operach w Belgradzie, Ankarze, Kairze, Al Ain (Zjednoczone Emiraty Arabskie). Wystawiał dzieła W.A. Mozarta, G. Rossiniego, H. Berlioza, G. Verdiego, A. Boito, P. Czajkowskiego, S. Moniuszki, F. Nowowiejskiego, S. Prokofiewa, S. Strawińskiego, B. Brittena i innych.

W latach 1985-2005 był reżyserem Warszawskiej Opery Kameralnej. Na tej niewielkiej scenie przygotował ze scenografem Andrzejem Sadowskim inscenizację wszystkich utworów scenicznych W.A. Mozarta (cykl 26 spektakli powstałych w latach 1987-1993 r. w związku z obchodami 200. rocznicy śmierci kompozytora). Przedstawienia były pokazywane w autorskim kształcie przez 15 lat na Festiwalu Mozartowskim w WOK oraz na festiwalach i scenach operowych Europy, Libanu, Izraela i Japonii. W 2017 r. został dyrektorem Polskiej Opery Królewskiej, która powstała w nawiązaniu do historycznych korzeni opery w Polsce. W POK pracował zaledwie dwa sezony. Ścigał się z czasem, który odbierała mu postępująca w zawrotnym tempie choroba. Kilkanaście premier operowych, oratoria, koncerty… Jeszcze pierwsze urodziny „u Rodziny" Krzysztofa Pendereckiego z jego niezwykłym „Credo".

Był twórcą wybitnym, wyjątkowym, w pewnym sensie także filozofem. Był artystą, który postrzegał sztukę, w tym teatr i operę jako służbę. Jako dzieła, które bez odniesienia do Boga nie mają sensu.

Zmarł 23 stycznia 2019 r.

Joanna Kapica-Curzytek

Lekcja edukacji międzykulturowej

29 stycznia 2025 roku obchodziliśmy w Zielonej Górze 80. rocznicę Marszu Śmierci. Tysiące więźniarek wyruszyły z FAL Grünberg I, filii obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Tylko nieco ponad sto przeżyło. Jedną z nich była urodzona w Bielsku-Białej Gerda Weissmann-Klein. Jej los został dramatycznie związany z naszym miastem. O swoich obozowych przeżyciach opowiedziała w książce „All But My Life" (wyd. polskie: „Wszystko za życie").

Był to najbardziej przygnębiający epizod w życiu G. Weissmann-Klein, ale w jej biografii są też jaśniejsze, optymistyczne barwy. Po wojnie poślubiła pochodzącego z Niemiec amerykańskiego żołnierza, Kurta Kleina. Oboje osiedlili się w USA i mieli troje dzieci. Gerda przez wiele lat była gorliwą aktywistką praw człowieka, działającą na rzecz pokoju na świecie. Spotykała się z młodzieżą szkolną we wszystkich stanach USA oraz za granicą, głosząc przesłanie nadziei i tolerancji.

Gerda Weissmann-Klein (1924-2022)

Jej wystąpienia publiczne skupiały się bardziej na dobrych stronach ludzkiej natury niż na okrutnych i drastycznych szczegółach wojny. To także istotna cecha jej twórczości literackiej, będącej dla nas, zielonogórzan, przełomowym odkryciem. Bez zapoznania się z całością dorobku G. Weissmann-Klein nie zrozumiemy w pełni wielkości jej dokonań, nie docenimy ogromnej siły jej osobowości oraz nie uświadomimy sobie rzeczywistej wagi głoszonych przez nią idei. Wiedza o tej niezwykłej postaci, ograniczająca się wyłącznie do tragicznych lat drugiej wojny światowej, daje nam obraz jednostronny i niepełny.

G. Weissmann-Klein pozostawiła po sobie między innymi utwory dla dzieci. Jednym z nich był „The Windsor Caper" [Harce w zamku Windsor], powieść odcinkowa, publikowana w 1987 r. w prasie. W formie książki ukazała się w 2013 r. to ostatnia oficjalna publikacja autorki. Przygotowując ją po wielu latach do tej edycji, G. Weissmann-Klein znalazła świetny sposób na uaktualnienie niektórych faktów dotyczących najnowszej historii, wprowadzając postać Pieniążka, zdolnego podróżować w czasie.

W przedmowie autorka wyjawia, że książka powstała dzięki jej fascynacji historią Wielkiej Brytanii, będącej jakże wdzięcznym tłem do tworzenia opowiastek dla dzieci i tych, „którzy są dziećmi w sercu". W faktach z przeszłości można znaleźć, jej zdaniem, akcenty magiczne i dramatyczne, a także całe mnóstwo stworów „nie z tego świata". Daje się w tym miejscu dostrzec jej „różowe okulary"; choć historia pełna jest raczej rzeczy drastycznych i okrutnych, nieprzeznaczonych dla młodszych czytelników.

Amerykańska dziewczynka Julie odwiedza któregoś lata swoją kuzynkę Alysę, mieszkającą w Wielkiej Brytanii. Jest zafascynowana brytyjską odmiennością; wybrzmiewają przy tej okazji drobne różnice językowe. Julie podziwia członków rodziny królewskiej i dużo o nich wie. Tu przemawia przez główną bohaterkę autorka – Gerda od młodości była szczególnie zainteresowana postacią Elżbiety, późniejszej królowej, młodszej od niej o dwa lata.

Julie i Alysa pewnego dnia zwiedzają zamek w Windsorze, historyczną siedzibę królewską, i tu zaczynają się ich niezwykłe przygody. Inspiracją dla ich wyobraźni jest domek dla lalek królowej Mary (do dziś turystyczna atrakcja) i portrety dawnych władców. Czy rozmowy z nimi to tylko wytwór ich fantazji? Koronowane głowy odpowiadają im piękną, starą angielszczyzną... Pojawia się nawet tajemniczy kuzyn Williama Szekspira, a w tekście – mnóstwo cytatów ze sztuk wielkiego dramaturga. Barwną fabułę uzupełniają smoki z herbów i inne dziwne istoty. „Przeżywamy tutaj tyle rzeczy, których nie zrozumieją osoby pozbawione wyobraźni!", łapie się za głowę Alysa. Doskonale widać, że autorka obdarzona jest empatią i doskonale rozumie żywą naturę dziecka, dla którego zabawa jest najważniejszą życiową aktywnością. Sceny przypominają beztroskie dokazywanie z lalkami lub żołnierzykami.

W tekst świetnie wkomponowane są rymowanki, ułatwiające zapamiętanie wielu faktów historycznych w atrakcyjnej, lekkiej formie. To piękny hołd autorki dla jej męża, Kurta, ponieważ to on jest autorem wierszyków. Można sobie wyobrazić, ile radości mogło sprawiać dziadkom czytanie ich wnukom, których mieli ośmioro.

W kontekście całej biografii G. Weissmann-Klein, „The Windsor Caper" odczytuję jako piękną lekcję edukacji międzykulturowej, w której zostało zaakcentowane przede wszystkim to, co ludzi łączy. Któż lepiej od autorki zdawał sobie sprawę, jak ważna jest gruntowna znajomość historii, przede wszystkim po to, aby kolejne pokolenia nie dopuszczały do powtarzania się w niej tego, co najokrutniejsze?

Postać G. Weissmann-Klein oraz jej imponujący, wielowymiarowy dorobek związany z szerzeniem humanistycznych wartości postrzegam jako ważny element, nadający lokalnej historii Zielonej Góry niebagatelny (i nadal jeszcze u nas nieodkryty) wymiar globalny. W jakiż niezwykły sposób nasze miasto łączy się – za sprawą osoby autorki i wykreowanej przez nią literackiej fikcji – z dziejami Wielkiej Brytanii!

Ryszard Zaradny

Prezydent miasta lubiła się bawić

W historii Zielonej Góry było niewiele jest kobiet, które miały znaczący wpływ na rozwój miasta. Jedną z nich była Antonina Grzegorzewska, pierwsza kobieta w Zielonej Góry, która zajmowała stanowisko prezydenta Winnego Grodu.

Antonina Grzegorzewska pełniła je z rekomendacji PZPR w trudnym okresie interludium pomiędzy „pierwszą Solidarnością a upadkiem PRL w latach 1983-1988. W stanie wojennym była zarządcą komisarycznym na majątku związkowym zlikwidowanej NSZZ „Solidarność". Jak twierdziła: „Wypełniałam już wtedy apolityczną funkcję. Pilnowałam majątku »S«. Sztandar związku, który przechowywałam, wrócił do właścicieli. Nie zginęła ani złotówka" ("Gazeta Wyborcza"). Aczkolwiek są osoby mające pretensje o nieprzychylne traktowanie ludzi „S".

A. Grzegorzewska (z domu Solecka) urodziła się 17 stycznia 1941 roku w Sławkowie w powiecie olkuskim, w województwie krakowskim. Edukację rozpoczęła już w Zielonej Górze, uzyskując maturę w Technikum Ekonomicznym.

Cała jej kariera zawodowa związana była z Zieloną Górą. Rozpoczęła pracę w Wojewódzkim Zjednoczeniu Przedsiębiorstw Handlowych 11 października 1960 r. na stanowisku instruktora finansowo-księgowego, pełniąc jednocześnie obowiązki kasjerki i dodatkowo opracowywała zbiorczą sprawozdawczość statystyczną z zakresu finansów. Doceniano jej kompetencję i mimo młodego wieku powierzano coraz bardziej odpowiedzialne stanowiska. Podnosiła swoje kwalifikacje zawodowe, studiując w Wyższej Szkole Ekonomicznej w Poznaniu, w 1967 r. uzyskała stopień magistra ekonomii. 1 grudnia 1968 r. została naczelnikiem wydziału analiz i sprawozdawczości w Wojewódzkim Zjednoczeniu Przedsiębiorstw Państwowego Przemysłu Terenowego. W opinii przełożonych podkreślano jej cechy charakteru, jak inteligencja, sumienność i zdyscyplinowanie, pointując jako świetny materiał na stanowiska kierownicze. Dalsze awanse zawodowe były już naturalną konsekwencją. W lutym 1970 r. została zastępcą dyrektora do spraw ekonomicznych w Zielonogórskim Ośrodku Przemysłu Meblarskiego. Dalsza jej kariera związana już była z administracją w Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Najpierw w listopadzie 1973 r. mianowana została na starszego inspektora w Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego, a od kwietnia 1975 r. była zastępcą dyrektora wydziału komunikacji Urzędu Wojewódzkiego. Dalsza kariera nastąpiła po Sierpniu 1980 r. W lipcu 1981 r. wojewoda zielonogórski Zbigniew Cyganik mianował ją na stanowisko dyrektora wydziału gospodarki terenowej i mieszkaniowej, a w marcu 1983 r. wojewoda płk Walerian Mikołajczak powierzył jej funkcję zastępcy przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji Planowania. Tenże wojewoda na wniosek Miejskiej Rady Narodowej, zgodnie z ustawą z dnia 20 lipca 1983 r. o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego, 4 października 1983 r. nominował A. Grzegorzewską na prezydenta Zielonej Góry. Funkcję tę pełniła do końca 1988 r., składając rezygnację na ręce wojewody Zbyszka Piwońskiego.

To dzięki jej zaangażowaniu wiele rzeczy, które wydawały się niemożliwe, udało się zrealizować. To na jej zaproszenie do Zielonej Góry przyjechała Alicja Górska, założycielka słynnej już Szkoły Tańca „Gracja", uczennica prof. Mariana Wieczystego. Dzięki jej życzliwości prężnie działały w mieście stowarzyszenia i organizacje. To jej zawdzięczamy na przykład istnienie w mieście Klubu Tańca „ Jacek"i szkoły Gracja. A. Górska została nauczycielką w Domu Harcerza i była pierwszą osobą, która w mieście założyła szkołę tańca oraz wychowawczynią wielu nauczycieli tańca oraz par klasy S, w tym wielokrotnych mistrzów świata, Europy i Polski.

Antonina Grzegorzewska (1941-2024) *fot. Czesław Łuniewicz*

Wielu podkreśla, że dzięki życzliwości A. Grzegorzewskiej aktywnie działały autentyczne obywatelskie stowarzyszenia takie jak: Klub Kolekcjonerów „Gustatores", Lubuskie Towarzystwo Fotograficzne czy Towarzystwo Miłośników Tradycji. Często mówiła, że nie wolno zapominać o ludziach, którzy swoje życie poświęcali miastu, dokładali cegiełki, by wszystkim żyło się lepiej, wygodniej, bezpieczniej. Doceniała ważną rolę pionierów Zielonej Góry i dążyła do tego, by pamiętać o nich, honorując ich podczas święta miasta.

Andrzej Toczewski, ówczesny dyrektor Muzeum Ziemi Lubuskiej, tak ponad 20 lat temu mówił o A. Grzegorzewskiej: „To osoba bardzo zasłużona dla Zielonej Góry, która miała wspaniałe idee promocji miasta, ona stworzyła w obecnej postaci Palmiarnię. (...) Ona świadomie hodowała drożdże z ludzi, a miasto rosło" (leksykon znanych zielonogórzan XX wieku „Gazecie Wyborczej" w 2001 r.).

A. Grzegorzewska z ramienia PZPR bez powodzenia kandydowała do Senatu w wyborach 4 czerwca 1989 r. Zwyciężyli wtedy kandydaci Solidarności Edward Lipiec i Walerian Piotrowski.

W następnym okresie kariery zawodowej do 1993 r. kierowała Ośrodkiem Obliczeniowym NBP. Wybory parlamentarne w 1993 r. okazały się zwycięskie dla koalicji Sojuszu Lewicy Demokratycznej i Polskiego Stronnictwa Ludowego. Wojewodą został prof. Marian Eckert, który powierzył A. Grzegorzewskiej funkcję dyrektora Urzędu Wojewódzkiego. W wspomnianym leksykonie w „GW" stwierdziła: „Byłam apolityczna od początku sprawowania urzędu. I zamierzam być takim dyrektorem nadal". Kolejne wybory parlamentarne sprawiły zmianę opcji politycznej – większość poparcia uzyskała Akcja Wyborcza Solidarność i przejęła władzę wraz Unią Wolności. Nastąpiła zmiana na kierowniczych stanowiskach UW. A. Grzegorzewska pracowała w urzędzie do przejścia na emeryturę w 2003 r. Na emeryturze dalej interesowała się sprawami dotyczącymi Zielonej Góry. Bywała na ważnych wydarzeniach, na których wspominano osoby, które zasłużyły się dla rozwoju miasta i regionu. Uczestniczyła m.in. podczas wieczoru wspomnieniowego poświęconego redaktorowi „Gazety Lubuskiej" Antoniemu Łusiakowi, podczas odsłonięcia tablicy pamiątkowej poświęconej prof. Eckertowi czy Zbigniewowi Majewskiemu „Szeryfowi" z Drzonkowa. W latach 2021-2023 była członkiem Komitetu Honorowego Jubileuszu 800-lecia powstania Zielonej Góry i 700-lecia uzyskania praw miejskich.

Współpracownicy wspominają ją jako osobę empatyczną, życzliwą i skromną, dla nich była po prostu Antośką.

Za obraz A. Grzegorzewskiej niech posłużą słowa jej córki, prof. Iwony Grzegorzewskiej, wypowiedziane podczas pogrzebu: „Mama była osobą bardzo skromną. Byłaby zdziwiona, że jej pogrzeb ma taką oprawę" (poczet sztandarowy miasta, hymn Zielonej Góry). Podkreśliła, że dla jej mamy trzy rzeczy były bardzo ważne: „Praca i dobro wszystkich mieszkańców, które traktowała priorytetowo. Mąż, z którym szła przez życie blisko 60 lat. My, jako dzieci, z radością patrzyliśmy na nich, jaki wspaniały związek tworzą, jak zawsze i wszędzie się wspierają. Dla nas była też cudowną mamą i zakochaną we wnukach babcią. Mama lubiła też się bawić, spędzać czas wśród ludzi. Tak bardzo cieszyła się na bal seniora, na który się wybierała. Niestety, nie doczekała tego wydarzenia...

Zmarła 30 stycznia 2024 r.

Tomasz Kowalski
Sylwester Woźniak

Dama polskiego kabaretu

17 lipca 2025 roku w Warszawie zmarła Joanna Kołaczkowska. Urodziła się w Polkowicach w 1966 r. Studiowała w zielonogórskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej. Została pochowana na Powązkach Wojskowych. Przypominamy tekst, który ukazał się w numerze 13 naszego magazynu, w 2023 r. Jej grób znajduje się obok grobu Stanisława Tyma, o którym pisaliśmy w numerze 17, w 2025 r.

W przeciwieństwie do baśni w kabarecie nie można urodzić się królową. Zyskanie tego tytułu jest konsekwencją systematycznej pracy, talentu i scenicznego doświadczenia. Pierwsze próby aktorskie mała Asia podejmowała już w szkole podstawowej i średniej. Wówczas to brała udział w szkolnych przedstawieniach oraz parodiowała znanych artystów i przebierała się za gwiazdy muzyki rozrywkowej. Po ukończeniu szkoły postanowiła opuścić rodzinne strony i wyjechała na studia. Wybrała Zieloną Górę, gdzie studiował jej szwagier, Dariusz „Kamol" Kamys. Chciała studiować na kierunku pedagogika kulturowo-oświatowa. Egzamin wstępny wymagał praktycznego zaprezentowania umiejętności scenicznych. Na przykład należało wyrecytować fragmenty poezji lub prozy. Dariusz wpadł na pomysł, aby Joanna wygłosiła jeden z wierszy socrealistycznych z lat 50. XX stulecia. Dzięki temu dostała się na studia.

W ich trakcie uczęszczała na fakultet teatralny prowadzony przez Romana Węckowskiego. Równocześnie „Kamol" zainspirował się do stworzenia kabaretu w oparciu o socrealistyczny repertuar. W ten sposób powstała grupa Drugi Garnitur. W pierwszym składzie jednak nie znalazła się Aśka. Na jedną z prób zabrał ją kolega z roku, czyli Adam Nowak. W książce „Historia Zielonogórskiego Zagłębia Kabaretowego" Aleksandry „Mrówki" Łobodzińskiej i Marcina Olechnowskiego można doszukać się wyjaśnień tej sytuacji. Na samym początku Joanna miała duże kompleksy. Gdy zobaczyła, w jaki sposób może wyglądać gra kabaretowa, to stwierdziła, że wszystko to, co robiła wcześniej to „wielki syf". W książce zamieszczona została również wypowiedź „Kamola", który stwierdził, że odnośnie Drugiego Garnituru nawet nie pomyślał o Asi. Według relacji samej zainteresowanej brak wiary we własne zdolności mógł wynikać z niepowodzeń podczas jej występów w ramach Dziadowskich Czwartków. Spotkania te odbywały się w klubie studenckim Alma Art w Parku Tysiąclecia. Były to imprezy tematyczne – lekarskie, kryminalne czy wampiryczne. Joanna w czasie jednego z takich występów zapomniała tekstu i zeszła ze sceny. A. Nowak podbiegł do niej i zawołał: „Nie możesz tego robić, nie możesz schodzić ze sceny!". Rzeczywiście taka porażka mogła rodzić niechęć do dalszych występów.

Joanna Kołaczkowska (1966-2025) *fot. Archiwum*

Działalność grupy Drugi Garnitur polegała na parodii wierszy z okresu stalinowskiego, co w rzeczywistości końca lat 80. wywoływało salwy śmiechu. Mimo że formacja istniała niecałe dwa lata, w tak krótkim czasie osiągnęła znaczne sukcesy. Asia z Drugim Garniturem w kwietniu 1988 r. pojechała na Pakę do Krakowa, gdzie kabaret zdobył Grand Prix. W tym samym roku, w lipcu, pojechała z zespołem do Świnoujścia na Famę. W tym konkursie sam Drugi Garnitur uzyskał Grand Prix, a Asia została wyróżniona nagrodą indywidualną. To były narodziny gwiazdy niczym w jakimś hollywoodzkim filmie.

Po rozwiązaniu Drugiego Garnituru Asia zasiliła zespół reaktywowanego przez Władka Sikorę Kabaretu Potem (1989-1999). Była gwiazdą wszystkich potemowskich programów, jak na przykład: „Bajki dla potłuczonych", „Dzikie muzy", „Tam i z powrotem, czyli program pożegnalny". W międzyczasie zaczęła tworzyć własne teksty, piosenki i nagrywać filmiki. Dużą możliwość dała jej wytwórnia filmów A'YOY, gdzie była jedną z czołowych twórczyń. Oprócz tego wystąpiła w kilku długometrażowych filmach reżyserowanych przez W. Sikorę. Wśród nich należy wymienić między innymi: „Baśń o ludziach stąd", „Robin Hood – czwarta strzała", „Dr Jekyll i Mr Hyde". Teksty oraz filmy autorstwa J. Kołaczkowskiej charakteryzują się dużą dawką surrealizmu i bardzo specyficznego humoru. Świadczy o tym chociażby dzieło „Zadziwiająca praca umysłu", które można obejrzeć w internecie. Warto dodać, że Aśka nigdy nie pogodziła się z zaprzestaniem działalności wytwórni A'YOY, na co może wskazywać chociażby fakt, że po jej formalnym zawieszeniu nakręciła kilka własnych filmów pod jej szyldem.

Asia brała udział w najróżniejszych projektach. Jednym z nich była Stajnia Niemożliwych, tworzona przez kilka połączonych grup artystycznych, jak np. Dybuk czy Kibuc. Działały one na pograniczu teatru absurdu i kabaretu surrealistycznego.

W 1999 r. po rozwiązaniu kabaretu Potem Asię można było określić mianem bezrobotnej artystki. W tym czasie zajęła się regulowaniem życia osobistego, m.in. przeprowadziła się do Warszawy i ponownie wyszła za mąż oraz zajęła się dzieckiem. Jednak nie wyobrażała sobie życia poza sceną, zresztą podobnie jak D. Kamys. Dlatego, kiedy zaproponował jej wstąpienie do nowej grupy – kabaretu Hrabi – to bez wahania się zgodziła. Nowy projekt był częściową kontynuacją kabaretu Potem i to z dwóch powodów. Jednym z nich było to, że w połowie tworzyły go osoby wywodzące się z potemów, czyli Asię i Kamola. Drugim – że Hrabi kontynuował jakość programową i poczucie humoru dawnej formacji. Równolegle Joanna brała udział w innych inicjatywach, np. nagrała piosenkę „Zróbmy to razem" z poznańskim chórem gospel. Grała również w improwizowanym serialu „Spadkobiercy", gdzie była zaginioną córką miliardera. Robert Górski zaprosił ją do kabaretowego programu „Historia literatury polskiej". Oprócz tego wzięła udział w teledysku z rockowym zespołem Nocny Kochanek, a na Boże Narodzenie 2022 r. nagrała piosenkę „Very Cherry Merry Christmas".

Droga Asi Kołaczkowskiej po koronę sceny kabaretowej to spełnienie snu. Rozpoczynając karierę, miała spore problemy z wiarą w siebie, jakąś wewnętrzną blokadę. W ciągu dwóch lat jednak stała się gwiazdą polskiej sceny kabaretowej. Każdy następny rok występów powodował wzrost jej kunsztu artystycznego, który zaprowadził ją na szczyt.

W opublikowanym w „Magazynie Gazety Wyborczej" wywiadzie (12-13 lutego 2023 r.) Aśka wyznała, co lubi, czego się boi i co ją najbardziej rozśmiesza. I to, że zawsze była sprytna, a ten spryt zaprowadził ją do tego miejsca, w którym się znalazła.

Od redakcji: Za wybitne zasługi w pracy artystycznej i twórczej 21 lipca 2025 r. prezydent RP uhonorował pośmiertnie Joannę Kołaczkowską Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Ryszard Szczęchor

Najlepszy chirurg wśród dermatologów

Moje życie składa się z przypadków i odrobiny szczęścia. Chciałem być chirurgiem. Zostałem dermatologiem i alergologiem. Mimo że kilka razy brałem się za rozprawę doktorską, jeszcze jej nie napisałem. Stworzyłem Centrum Medyczne „Aldemed". W 2024 roku centrum zostało wyróżnione statuetką Przyjaciela Zielonej Góry.

Urodziłem się w 1951 roku w Majdanie Starym na Lubelszczyźnie. Tam skończyłem podstawówkę. Jako jeden z niewielu mieszkańców wioski przez cztery lata dojeżdżałem autobusem, osiem kilometrów, do liceum w powiatowym Biłgoraju, tego samego, które wcześniej skończył Henryk Wujec i później aktor Stefan Szmidt i Janusz Palikot. Po powrocie ze szkoły do domu dużo czasu spędzałem w sklepiku, który zajmował część naszej chałupy. Prawdę mówiąc, to tam, zastępując mamę za ladą, nauczyłem się liczyć. I tam, widząc, jak sobie radzą sąsiedzi, postanowiłem, że wyrwę się z tej wsi na studia. Tylko dokąd, bo rodziców nie było stać, żeby posłać mnie na uniwersytet czy politechnikę? Możliwości były dwie: albo jako ministrant pójdę do seminarium duchownego i zostanę księdzem, albo do szkoły wojskowej, gdzie też nie trzeba było płacić za utrzymanie. Mimo że w rodzinie nie było żadnych tradycji wojskowych czy lekarskich, wybrałem Wojskową Akademię Medyczną w Łodzi, jedyną taką uczelnię w Polsce. O wyborze moich studiów zadecydowała ekonomika. Jako student miałem prawo do bezpłatnego wyżywienia i zakwaterowania, jako podchorąży do umundurowania i żołdu. Miałem też zapewnioną pracę i mieszkanie po ukończeniu studiów. Wybór ten umacniało również to, że ojciec ciężko chorował. Podświadomość podpowiadała więc, że zostając lekarzem, będę służyć chorym.

Najpierw pojechałem do Powiatowego Sztabu Wojskowego. Oficer, który mnie przyjął, zapytał, czy zdaję sobie sprawę z tego, na co się porywam. Powiedział, że nie mam najmniejszej szansy studiowania na WAM-ie. Tam dostają się synowie profesorów, generałów, pułkowników, sekretarzy partii, a nie chłopak z Majdanu. Jak już koniecznie chcesz być oficerem, to wybierz wyższą szkołę wojsk łączności, rakietową, saperów czy samochodową. Tam przyjmą cię z pocałowaniem rąk – dodał z jakąś taką złośliwością.

Na egzamin wstępny do Łodzi pojechałem autobusem dalekomiejskim. Pierwszy raz w życiu tak daleko. Z całej Polski przyjechało po kilkunastu kandydatów na jedno miejsce. Żeby studiować na WAM-ie, najpierw trzeba było zdać taki sam egzamin jak do cywilnej akademii medycznej, to znaczy z chemii, biologii, języka obcego oraz wiedzy o Polsce i świecie współczesnym. Oprócz tego egzaminu odbył się egzamin ze sprawności fizycznej. Także przeprowadzano badania stanu zdrowia. Nie licząc tego, że kazano mi uzupełnić uzębienie, wszystko przeszedłem pomyślnie. Podczas rozmowy już po egzaminach zaproponowano mi przeniesienie się na stomatologię. Odmówiłem. Chciałem być lekarzem medycyny. W 1969 r. na pierwszy rok studiów na wydziale lekarskim przyjęto 240 mężczyzn, wśród nich byłem ja, chłopak z Majdanu Starego. Do końca dotrwało 174.

Wybrałem dermatologię dlatego, że jako lekarz wojskowy najczęściej miałem do czynienia z chorobami skóry u żołnierzy służby zasadniczej.

Po sześciu latach studiów otrzymałem dyplom lekarza medycyny i stopień podporucznika Wojska Polskiego. Obie uroczystości miały miejsce tego samego dnia. Odbywałem studia jakby w dwóch uczelniach. Studia lekarskie były takie same jak w cywilnej akademii medycznej, powiększone o przedmiot: medycyna pola walki. Do tego dochodziły zajęcia z wojskowości, a więc musztra, maszerowanie, poznawanie regulaminów, strzelanie, czyszczenie broni itp. Latem po każdym roku studiów wyjeżdżaliśmy na półtoramiesięczne ćwiczenia poligonowe. Na zajęcia medyczne, nawet do prosektorium, chodziliśmy w mundurach wojskowych, przez pierwsze dwa lata w kolumnach, plutonami. Im bliżej końca studiów, tym było mniej formalnej dyscypliny wojskowej. Wyłączając urlop, jako podchorążowie studenci nigdy nie nosiliśmy ubrań cywilnych.

Każdy podporucznik lekarz medycyny miał obowiązek odbyć staż w wojskowej placówce medycznej. Ci z pierwszymi lokatami mieli prawo wybrać miejsce, pozostałych komisja rozdzielności kierowała do okręgów wojskowych. Ja z lokatą w trzeciej dziesiątce dostałem przydział do Śląskiego Okręgu Wojskowego. Odbyłem roczny staż w 4 Wojskowym Szpitalu Klinicznym we Wrocławiu przy Czerskiej (obecnie Weigla). Codziennie do piętnastej pracowałem w szpitalu, po południu tak jak każdy stażysta jeszcze gdzieś dyżurowałem, na przykład w pogotowiu, w izbie wytrzeźwień, w przychodni. Przez rok pracy i dodatkowych dyżurów siedem dni w tygodniu zarobiłem tyle pieniędzy, że miałem za co kupić popularnego wtedy „malucha", czyli Fiata 126p.

Po zakończeniu stażu we Wrocławiu dostałem do wyboru służbę w jednostkach wojskowych tworzących 5 Saską Dywizję Pancerną w Gubinie, 4 Pomorską Dywizję Zmechanizowaną w Krośnie Odrzańskim i 11 Drezdeńską Dywizję Pancernej w Żaganiu. Wybrałem Krosno z dwóch powodów: leży najbliżej Zielonej Góry i służba miała się odbywać w batalionie medycznym. To jeszcze nie był typowy szpital wojskowy, ale także miał nieduży blok operacyjny, łóżka, aptekę. Służyłem

w plutonie chirurgicznym jako młodszy asystent. Tam rozpocząłem specjalizację chirurgiczną, a zajmowałem się tak złamaniami, jak i tym, co jest określane jako chirurgia miękka. Po latach, kiedy już miałem specjalizację z dermatologii, mówiono, że jestem najlepszym chirurgiem wśród dermatologów. W Krośnie asystowałem znakomitemu chirurgowi pułkownikowi doktorowi Ludwikowi Sytemu, późniejszemu kierownikowi kliniki chirurgicznej szpitala wojskowego we Wrocławiu. Pułkownik zmarł w 2010 r., został pochowany na cmentarzu w Bobrowicach koło Krosna.

Po dwóch latach mojej służby dojechała do Krosna moja żona, Bożena, absolwentka stomatologii cywilnej Akademii Medycznej w Łodzi. Wtedy kwatermistrz 4 dywizji płk Zenon Sobecki, późniejszy wicewojewoda zielonogórski, wezwał mnie do siebie i powiedział, że zostanę przeniesiony na stanowisko starszego lekarza 128 pułku artylerii przeciwlotniczej w Czerwieńsku (obecnie 4 zielonogórski pułk przeciwlotniczy). Na żonę czekała praca w nieźle wyposażonym gabinecie stomatologicznym. Nie mogłem odmówić, rozkaz to rozkaz, zresztą nawet nie próbowałem. Dostałem trzypokojowe mieszkanie w bloku przy ulicy Zielonogórskiej, lepszy etat, wyższą pensję. Chciałem dalej kształcić się w chirurgii, pracując w szpitalu zielonogórskim. Ordynator był za, ale pod warunkiem że będę codziennie obecny na oddziale od siódmej do jedenastej. Na to nie zgodził się dowódca pułku.

Jako lekarz pułkowy opiekowałem się żołnierzami, oficerami i ich rodzinami, czyli byłem odpowiednikiem lekarza zakładowego i rodzinnego. Moje ambicje sięgały jednak dużo wyżej. Przede wszystkim chciałem się specjalizować, tyle że w wojsku obowiązują inne zasady niż w cywilu. Tam jest hierarchiczność. Podwładny może pisać raporty z jakąś prośbą, ale przełożony wcale nie musi ich uwzględniać. Na moje szczęście dowódca pułku, płk Henryk Milczewski, oficer z frontowym doświadczeniem, postawiwszy pewne warunki, zgodził się, żebym zaczął być nie tylko lekarzem pułkowym. Dogadałem się z ordynatorem oddziału dermatologicznego, że mogę przyjeżdżać do zielonogórskiego szpitala wtedy, kiedy będę mieć czas i tam przygotowywać się do specjalizacji. Dzięki temu rozpocząłem specjalizację z dermatologii. Moim kierownikiem specjalizacji był płk Roman Kozłowski ze szpitala wojskowego we Wrocławiu, którego poznałem podczas stażu po studiach. Egzamin na pierwszy stopień specjalisty zdałem u płk. prof. Jana Łańcuckiego, naczelnego dermatologa Wojska Polskiego i szefa kliniki dermatologicznej centralnego szpitala wojskowego przy Szaserów w Warszawie. Wybrałem dermatologię dlatego, że jako lekarz wojskowy najczęściej miałem do czynienia z chorobami skóry u żołnierzy służby zasadniczej, szczególnie takimi jak otarcia naskórka podczas ćwiczeń, opryszczka, rozmaite wypryski.

fot. Archiwum prywatne

Ryszard Szczęchor: *Jako lekarz pułkowy opiekowałem się żołnierzami, oficerami i ich rodzinami, czyli byłem odpowiednikiem lekarza zakładowego i rodzinnego. Moje ambicje sięgały jednak dużo wyżej.*

Już jako dermatolog w Zielonej Górze pierwszy wprowadziłem leczenie pacjentów zimnem. Robiłem to przy pomocy ciekłego azotu. Co tydzień jeździłem z pustą butlą na Jędrzychów do Stacji Hodowli i Unasienia Zwierząt przy Olbrychta, skąd pobierałem azot używany do krioterapii.

Gdy płk Milczewski przestał dowodzić pułkiem w Czerwieńsku, został kierownikiem studium wojskowego obu zielonogórskich uczelni. Administracyjna częstość studium mieściła się przy alei Niepodległości po tej samej stronie co kino Nysa (obecnie są tam wydziały Urzędu Miasta). Tam szkolono mężczyzn studiujących w uczelniach technicznej i pedagogicznej. Zajęcia dla studentek odbywały się w budynku przy alei Wojska Polskiego 69. Tam jako kierownik szkolenia sanitarnego prowadziłem z nimi zajęcia teoretyczne głównie z zakresu udzielania pierwszej pomocy, pielęgnacji noworodka itp. Przyznam się, że byłem z tej pracy bardzo zadowolony, a że miałem dużo więcej wolnego czasu niż w Czerwieńsku, zrobiłem drugą specjalizację z alergologii. I postawiłem dom przy ulicy Dunikowskiego w Zielonej Górze.

Po częściowo wolnych wyborach w czerwcu 1989 r. zmieniły się zasady odbywania służby wojskowej przez studentów. Przestały istnieć studia

wojskowe w dotychczasowej formie, wśród nich i zielonogórskie dla obu uczelni. Dostałem propozycję podjęcia pracy w wojskowym Centralnym Szpitalu Klinicznym przy Szaserów w Warszawie lub objęcie kierownictwa szpitala dermatologicznego w Lądku-Zdroju. Już miałem swój gabinet przy Kupieckiej, niemało pacjentów, przeprowadzałem testy alergologiczne... dlatego odrzuciłem obie propozycje.

Po osiemnastu latach noszenia munduru wojskowego przeszedłem do cywila. Po osiemnastu latach służby i sześciu latach studiów w akademii medycznej jako podpułkownik rezerwy zostałem wojskowym emerytem. Tylko wojskowym, bo nadal jestem czynnym lekarzem medycyny.

Prowadziłem gabinet dermatologiczny i alergologiczny przy Kupieckiej. Pacjentów miałem sporo i właściwie mógłbym na tym poprzestać, gdyby nie to, że dostałem propozycję wynajęcia dwóch pokoi o powierzchni 45 metrów kwadratowych w kamienicy przy alei Niepodległości 1. Podpisałem umowę z zarządcą, którym był Zakład Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej i przeniosłem tam gabinet z Kupieckiej. Za sąsiadów miałem zarządy Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Greckiej i Stowarzyszenia Polaków Poszkodowanych przez Trzecią Rzeszę. Nasze sąsiedztwo nie trwało długo, gdyż obie organizacje opuściły wynajmowane pomieszczenia, więc je wydzierżawiłem z przeznaczeniem na rozszerzenie swojej działalności.

Wtedy wpadł mi do głowy pomysł, żeby utworzyć Centrum Medyczne „Aldemed". Jego nazwa pochodzi od pierwszych liter moich specjalizacji: Alergologia i dermatologia z dodatkiem med. Formalnie centrum rozpoczęło działalność 29 lutego 1996 r. Od tego dnia zacząłem zatrudniać lekarzy rozmaitych specjalności. Przyznaję się, że miałem szeroki plan i niewielką wiedzę na temat prowadzenia działalności gospodarczej. Pierwszym, który udzielił mi pomocy w tym zakresie, był prof. dr Andrzej Kaszuba, wojskowy dermatolog i wenerolog, krajowy konsultant. Zaprosił mnie do Łodzi, gdzie założył już wtedy ogromne centrum medyczne Dermed, zatrudniające same lekarskie znakomitości. Jego teść starał się poduczyć mnie, jak prowadzić biznes i nie narazić się na kłopoty szczególnie ze strony prawa.

Sądziłem, że Aldemed zatrzyma się w pokojach na pierwszym piętrze przy Niepodległości 1. I pewnie tak by się stało, gdyby nie to, że lokatorzy mieszkań komunalnych mogli je wykupić na własność za 10 procent wartości. Kupowali i ponieważ na ogół byli to starsi ludzie, wyprowadzali się do domów swoich dzieci, a te mieszkania wystawiali na sprzedaż. Najpierw kupiłem mieszkanie na drugim piętrze, tyle że nie za 10 procent jego wartości, a po cenie rynkowej. Potem co jakiś czas, gdy uskładałem pieniędzy, kupowałem kolejne mieszkanie. W ten sposób Aldemed stał się właścicielem niemal całej kamienicy przy Niepodległości 1. Niemal całej, gdyż jeden lokal na piętrze należy do kogoś innego i lokale na parterze, gdzie jest optyk, fryzjer i sklep mięsny mają innych właścicieli. Potem kupiłem pomieszczenie po nieczynnej cukierni, mające wejście z Kupieckiej. Po jego wyburzeniu postawiłem podpiwniczony pięciokondygnacyjny budynek połączony ze starym obiektem. Kto wchodzi do Aldemedu od alei Niepodległości pewnie nawet nie domyśla się, że gdyby nie ta dobudowa, nie byłoby windy ani wielu gabinetów, w których przyjmują pacjentów lekarze specjaliści.

Kolejnym krokiem było odkupienie od banku zadłużonej przychodni lekarskiej zlikwidowanego Zastalu przy Towarowej 20. Zajmowany przez nią budynek wymagał gruntownego remontu. Przy okazji remontu dobudowałem duży obiekt, w którym znalazły się gabinety lekarskie i poradnie, apteka, blok operacyjny i szpital. Nieskromnie powiem, że wybitny polski alergolog prof. Piotr Kuna, gdy zobaczył rozwiązania w naszym szpitalu, przysłał do nas swojego inżyniera, żeby podpatrzył nasze zastosowane pomysły i przeniósł je do szpitala Barlickiego w Łodzi.

W szpitalu przy Towarowej operacyjne wykonują okuliści, laryngolodzy, ortopedzi, ginekolodzy, urolodzy, neurochirurdzy. Kilkudziesięciu lekarzy pracuje w poradniach specjalistycznych i gabinetach diagnostycznych. Prężnie działa zakład rehabilitacji, w ramach którego oprócz rehabilitacji ambulatoryjnej funkcjonują oddziały dziennej rehabilitacji ogólnoustrojowej i kardiologicznej. W pracowni endoskopii wykonywane są kolonoskopie i gastroskopie. Nie ma dobrego leczenia bez diagnostyki na nowoczesnym sprzęcie, dlatego niedawno zmodernizowano kolejny raz zakład radiologii. Funkcjonuje pracownia mammografii, inna niż tamta, w której kilkanaście lat temu zielonogórzanki miały wykonywane swoje pierwsze w życiu badania mammograficzne, gdy kolejka do zapisów była aż na deptaku. Od tamtej pory mammograf wymieniano kilkakrotnie, zawsze na nowocześniejszy. Teraz badania są robione przy pomocy aparatu cyfrowego.

Ostatnim zakupem lokalowym była zabytkowa willa przy Towarowej. Chciałem, żeby remoncie i modernizacji pod nadzorem konserwatora zabytków budynek był połączony korytarzem z już istniejącym i wykorzystany z myślą o pacjentach. Konserwator zabytków nie wydał zgody.

Pod opieką lekarzy rodzinnych zatrudnionych w Aldemedzie jest blisko 28 tys. pacjentów z Zielonej Góry i okolic.

Dziennikarze często mnie pytają, czy jestem dumny z tego, co zrobiłem. Czy odniosłem sukces? Odpowiadam, że tak. I wyjaśniam, że miałem pomysł, który prawie w całości udało mi się zrealizować. Że miałem szczęście. Przede wszystkim miałem szczęście do współpracowników. Jeszcze jedno. Może najważniejsze. Żeby osiągnąć sukces, trzeba w niego wierzyć i mieć determinację. Ja ją miałem.

Wtedy, w 1996 r. postanowiłem, że stworzę w Zielonej Górze placówkę medyczną, jakiej dotąd nie było. Która będzie służyła pacjentom z całego regionu. W niektórych specjalnościach z kraju. Udało się! Co potwierdza między innymi przyznanie mi wielu poważnych nagród i wyróżnień, wśród nich tytułu Menedżera 2010 Roku Służby Zdrowia. W 2024 centrum otrzymało statuetkę Przyjaciela Zielonej Góry. W pięknej Sali Witrażowej Muzeum Ziemi Lubuskiej odebrałem ją razem z córką Moniką, w której ręce przekazałem kierowanie Aldemedem. Maciek, partner mojej starszej wnuczki Natalii, wspomaga Monikę w zarządzaniu centrum. Druga wnuczka Julia zaczęła naukę w liceum ogólnokształcącym. Po maturze ma zamiar studiować medycynę.

Fałszywe wiadomości

Historia międzynarodowych konkursów na rysunek satyryczny zaczęła się w 1986 roku w Zielonej Górze. Potem na krótko przeniosła się do Kożuchowa. I po czternastoletniej przerwie w 2004 r. wróciła do Winnego Grodu.

W 2025 r. odbył się 27 konkurs, zorganizowany przez bibliotekę im. Norwida i nasze stowarzyszenie. Jego tematem sformułowanym po angielsku, a obecnym we wszystkich językach świata, były wiadomości nieprawdziwe, czyli Fake news. W poprzednich latach za zadanie do wykonania satyrycy dostali zilustrowanie takich tematów jak książka, telewizja, wino, muzeum, sztuka, maska, olimpiada.

Na 27 konkurs 220 rysujących satyryków z 43 krajów przysłało 746 prac (np. w 2022 r. – 329, 2024 – 1038). Komisji oceniającej rysunki przewodniczył dr Paweł Płoski – dyrektor Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego w Warszawie. Jej członkami byli: Paulina Maciejewska – prezeska Fundacji Satyrykon i Zbigniew Piszczako – rysownik. Grand Prix otrzymał Oleksiy Kustovsky z Ukrainy. Zdobywcą drugiej nagrody został Darko Drljević z Czarnogóry. Trzecie miejsce zajął Shahrokh Heidari z Francji. Nagrody specjalne otrzymali: Vladimir Kazanevsky (Ukraina), Banu Moğulkoç (Turcja) i Monika Wyłoga, wyróżnienia: Roman Gajewski, Jacek Lanckoroński i Tomasz Wołoszyn.

Nagroda ufundowana przez nasze stowarzyszenie przypadła Nice Jaworowskiej-Duchlińskiej. To absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu i Krakowie oraz Uniwersytetu Warszawskiego. Scenografka, kostiumografka, autorka i ilustratorka książek dla dzieci. Uczy starszych i młodszych myślenia wizualnego, m.in. prowadzi warsztaty o humorze w Muzeum Karykatury. Wykłada w Collegium da Vinci w Poznaniu.

Patronat nad konkursem sprawowali: Muzeum Karykatury i Stowarzyszenie Polskich Artystów Karykatury.

AS

Nika Jaworowska-Duchlińska – nagroda Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry „Winnica"

Oleksiy Kustovsky - Grand Prix

Jesteśmy wolontariuszami

Podstawowym źródłem dochodów naszego stowarzyszenia są składki członkowskie. Wystarcza ich na opłaty za stronę internetową i adres, znaczki pocztowe, druki. Gdyby nie sponsorzy i udział w konkursach na granty, niewiele by się dało zrobić.

Gdy Związek Lubuskich Organizacji Pozarządowych ogłosił konkurs na akcję społeczną z udziałem wolontariuszy, natychmiast wysłaliśmy swój projekt „Przygotowanie i wydanie magazynu »Na Winnicy«". Z całego województwa wpłynęło siedem zgłoszeń. Komisja konkursowa wybrała trzy, wśród nich nasze. Otrzymaliśmy 3 tys. zł, którymi zapłaciliśmy za wydrukowanie numeru 18 magazynu. Pozostałe prace, jak napisanie artykułów, wykonanie zdjęć, redakcję, adiustację i korektę wykonaliśmy w ramach wolontariatu. Jako wolontariusze rozesłaliśmy magazyn do osób i instytucji interesujących się przeszłością i współczesnością Zielonej Góry.

Odpowiedzialnym za organizację akcji społecznych z udziałem wolontariuszy w województwie lubuskim był ZLOP, który promuje Korpus Solidarności w ramach projektu Partnerstwo dla wolontariatu, edycja 2014-2025. Jest to część zadania: Korpus Solidarności – Rządowy Program Wspierania i Rozwoju Wolontariatu Systematycznego na lata 2018-2030. Korpus Solidarności to nic innego, jak wolontariat systematyczny, którego celem jest – wyjaśniają organizatorzy – kompleksowe wspieranie rozwoju długofalowej relacji między wolontariuszem a placówką korzystającą z jego świadczeń. Inaczej mówiąc autorom programu chodzi o stałe innowacyjne, kreatywne i nowoczesne zaangażowanie energii społecznej. Autorzy projektu twierdzą, że wolontariat systematyczny jest najbardziej deficytową formą działalności wolontariackiej Polaków. Koncentracja na tej formie wolontariatu nie oznacza jednocześnie deprecjonowania idei wolontariatu okazjonalnego lub akcyjnego, współtworzącego ważny obszar dobrowolnej i nieodpłatnej działalności na rzecz innych.

Odpowiedzialny za to zadanie w kraju jest Narodowy Instytut Wolności.

Od wiosny do jesieni

17 czerwca odbyło się zebranie sprawozdawcze naszego stowarzyszenia. Prowadzący je prezes Ryszard Błażyński przypomniał, co zrobiliśmy w 2024 roku. Naszymi sztandarowymi przedsięwzięciami było wskazanie osób i instytucji do tytułu Przyjaciel Zielonej Góry. Przyznaliśmy Zielonogórską Nagrodę Literacką „Winiarka". Przeprowadziliśmy ogólnopolski konkurs literacki o tematyce zielonogórskiej. Współorganizowaliśmy międzynarodowy konkurs na rysunek satyryczny. Wydaliśmy dwa numery magazynu „Na Winnicy". Opublikowaliśmy trzy książki autorów zielonogórskich. Co miesiąc (z wyłączeniem wakacji) organizowaliśmy spotkania z cyklu „Rozmowy o Zielonej Górze". Źródła finansowania zadań podejmowanych przez naszą organizację to: składki członkowskie, darowizny od osób i firm oraz dotacje samorządu miejskiego ze wskazaniem na konkretne cele. W głosowaniu jawnym zarząd otrzymał absolutorium. Podczas zebrania członkowie przyjęli rezygnację Romana Czarneckiego z funkcji sekretarza stowarzyszenia. Tę funkcję powierzyli Aleksandrze Mrozek. Na miejsce zmarłego członka komisji rewizyjnej Mirosława Rataja wybrali Henryka Boratyńskiego. Do stowarzyszenia należą 63 osoby.

Towarzystwo kontynuowało cykl spotkań „Rozmowy o Zielonej Górze" rozpoczęty w 2022 r. z okazji 800-lecia miasta. W drugim spotkaniu w 2025 r. z członkami TMZG„W" i zainteresowanymi mieszkańcami miasta wzięły udział osoby należące do Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry. Kolejne, organizowane raz w miesiącu, spotkania dotyczy starych cmentarzy, ochrony zdrowia, prasy studenckiej, najstarszych dokumentów w Archiwum Państwowym. Współorganizatorem była biblioteka Norwida. Gospodarzem ostatniego spotkania przed wakacjami było Archiwum Państwowe.

Adam Bagiński został Honorowym Obywatelem Zielonej Góry. To „malarz, którego prace cechuje emocjonalność i głębia duchowa. Jego wkład w rozwój lokalnej kultury jest nieoceniony – był m.in. współorganizatorem licznych wydarzeń artystycznych oraz uczestnikiem polsko-niemieckich plenerów". W 2024 r. A. Bagiński otrzymał tytuł Przyjaciela Zielonej Góry, nadany przez nasze stowarzyszenie.

Nagrodę Kulturalną Prezydenta Zielonej Góry otrzymała Aldona Reich. „Pisarka, tworzy powieści i opowiadania o tematyce społeczno-obyczajowej, sensacyjnej i kryminalnej, pisze również recenzje książek i felietony. Jej powieść »Dwunasty« przez 15 tygodni była w pierwszej piątce portalu Legimi. Zawodowo pracuje jako redaktor i korektor w Oficynie Wydawniczej UZ".

Poznańskie wydawnictwo Labreto wydało powieść komediową Aldony Reich „Miłość all inclusive" (248 s.). Książka ukazała się w wersji papierowej, jako e-book i audiobook, który czyta Aleksander Orsztynowicz-Czyż.

Warszawskie wydawnictwo Czarna Owca opublikowało powieść Przemysława Piotrowskiego „Mężczyzna, który rozmawiał z hienami" (344 s.). Książka ukazała się również jako e-book. Audiobook czyta Przemysław Bluszcz. W tym samym wydawnictwie wyszło drugie wydanie „Drogi do piekła" (328 s.). Audiobook w interpretacji Filipa Kosiora. Ukazał się także e-book. „La Bestia" (polskie wydanie: Czarna Owca, 2023) ukazała się po czesku.

Na początku kwietnia 2025 r. zielonogórskie wydawnictwo Manufaktura Tekstów wydało powieść Krzysztofa Koziołka „Ostatni zdrajca" (442 s.). Na okładce wydawca napisał: „Wybór rusofila na prezydenta Polski to dopiero początek Armagedonu". Książka ukazała jako e-book i audiobook, który czyta Mateusz Drozda.

Zielonogórska Fundacja Gloria Monte Verde wydała album „Kresowe tradycje zielonogórskiego winiarstwa". Jednym z autorów jest Tomasz Kowalski.

Nasze stowarzyszenie wydało wersję papierową powieści Alfreda Siateckiego „Operacja 0" (404 s.). E-book przygotowało warszawskie wydawnictwo Saga Egmont. Jej akcja dzieje się w Zielonej Górze w 1950 r., kiedy miasto zostało stolicą województwa zielonogórskiego. Powieść ukazuje, jak twierdzi wydawca, „napięcia między urzędem bezpieczeństwa, partią, administracją i Zielonogórzanami". Śląskie wydawnictwo E-bookowo wydało „Fetę" Zielonogórzanina (420 s.). Na stronie 4 okładki wydawca poinformował, że jest to „powieść obyczajowa z cechami groteski. Jej akcja dzieje się w mieścinie nad Odrą blisko granicy z Niemcami, skąd ucieka każdy, kto ma gdzie uciec".

Od 28 stycznia do końca lutego w bibliotece Norwida trwała jubileuszowa wystawa retrospektywna w 85. urodziny Adama Bagińskiego, nestora zielonogórskich artystów plastyków. Oprócz prac olejnych i akwarelowych na wystawie zgromadzono pamiątki rodzinne artysty (patrz s. 41). A. Bagiński przyjechał do Zielonej Góry w 1967 r. po ukończeniu studiów na toruńskim Uniwersytecie Mikołaja Kopernika.

W Muzeum Marcina Rożka w Wolsztynie od połowy marca była czynna wystawa malarstwa Izabeli Sak z cyklu „Mirage". Prace wykonane w technice akrylowej, to malarska imitacja inspirowana oldskulową koronką. Naśladują on stare „babcine" rękodzieło, przez co obrazy charakteryzują się wyraźną i namacalną teksturą. We wrześniu w Centrum Kultury „Muza" w Lubinie Zielonogórzanka pokazała „Koronkowe szepty". – Główną rolę w każdym obrazie grają serwetki i koronki ręcznie robione z poprzedniego wieku. Ale nie znajdziecie państwo w tych moich obrazach żadnych motywów ludowych, bo jest to malarstwo współczesne – powiedziała artystka.

Prof. dr hab. Bogumiła Burda weszła w skład zespołu doradczego do spraw kobiet w szkolnictwie wyższym i nauce.

Prof. dr hab. Czesław Osękowski otrzymał godność Honorowego Członka Polskiego Towarzystwa Historycznego.

Prof. dr hab. Leszek Jerzak z Instytutu Nauk Biologicznych UZ został uhonorowany certyfikatem Top Cited Article 2025 przez jedno z najbardziej renomowanych na świecie wydawnictwo naukowe Wiley. Zielonogórzanin znalazł się w gronie europejskich badaczy, którzy zajęli się analizą szybkiej możliwości oceny różnorodności gatunkowej ptaków na podstawie jakości zieleni miejskiej. Profesor otrzymał również nagrodę rektora UZ za osiągnięcia naukowe.

Centrum Medyczne „Aldemed" zostało członkiem wspierającym nasze stowarzyszenie.

Akwarele spod pędzla Adama Bagińskiego

Wrażliwe na niedolę najmłodszych Lubuszan

Klub tworzy 12 zielonogórzanek. Wśród nich jest nauczycielka akademicka, tłumaczki, aktorka, bibliotekarki, prawniczka, poetka, etnografka, plastyczka. Jego działalność wspierają osoby prywatne i instytucje.

W 2025 roku organizacja charytatywna Kiwanis International świętowała 110 rocznicę swego powstania. Pierwsze jej kluby, zrzeszające ludzi wokół idei pomocy dzieciom, powstały w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Stopniowo Kiwanis rozprzestrzeniał się na inne kontynenty, a w latach 60. XX wieku zawitał do Europy. W Polsce pojawił się już po przemianach ustrojowych w 1991 r. Również i Zielona Góra ma takie stowarzyszenia. Jego założycielką była znana artystka malarka Agata Buchalik-Drzyzga (1940-2013), która skupiła wokół siebie osoby wrażliwe na niedolę najmłodszych członków naszego społeczeństwa.

Zakup plecaków z wyposażeniem dla uchodźców z Ukrainy wartości 12 tys. zł (2022)

Spotkanie integracyjne dzieci w ramach zadania Kiwanis Kulturtag w Ogrodzie Botanicznym w Zielonej Górze (2017)

fot. Archiwum Kiwanisu

W pierwszej fazie działalności najważniejsza była pomoc doraźna: zakupy żywności, odzieży, przyborów szkolnych czy nawet drobne remonty pomieszczeń, gdzie dzieciaki mogły spędzać czas wolny. Aby zdobyć fundusze, członkinie stowarzyszenia organizowały loterie, zbiórki, spotykały się ze sponsorami i negocjowały warunki pomocy. Często wykładały prywatne pieniądze, jedna we własnym gabinecie leczyła zęby dzieciom z ubogich rodzin, inna uczyła języka niemieckiego, a kolejna rozwijała talenty artystyczne, prowadząc zajęcia plastyczne.

Z biegiem czasu, gdy standard życia Polaków podwyższył się, zmieniły się potrzeby dzieci i sposoby ich zaspakajania. – Teraz jest inaczej – mówi Lidia Kurzawowa, związana z zielonogórskim klubem od samego początku. – Obecnie staramy się poprzez nasze działania podawać raczej wędkę, niż dawać coś do ręki. Tak jest np. ze stypendium artystycznym fundowanym przez klub od 2015 r. Prowadząca to zadanie Anna Jankowska wylicza: – Pieniądze dla ucznia/uczennicy przeznaczane są na zakup farb, blejtramów czy pędzli. A więc narzędzi umożliwiających rozwój talentu.

Ważnym segmentem działalności klubu jest współpraca polsko-niemiecka. W 2006 r. z inicjatywy Barbary Krzeszewskiej-Zmyślony, zielonogórskiej germanistki, i również kiwaniski, nastąpiło podpisanie umowy z klubem z Frankfurtu. Współdziałanie zaowocowała już blisko pięćdziesięcioma spotkaniami integracyjnymi dzieci i dorosłych z obu krajów w ramach tzw. Kiwanis Kulturtag. – Nie ma lepszego sposobu na poznanie języka, kultury i mentalności sąsiada jak spotkania, zabawa i wspólne działania – mówi profesor Bogumiła Burda, sprawująca funkcję prezydenta klubu.

Stowarzyszenie żywo reaguje na konflikty wojenne i katastrofy humanitarne. Na początku wojny rosyjsko-ukraińskiej zielonogórski Kiwanis we współpracy z amerykańskim Klubem Charlotte z Południowej Karoliny zakupił 41 plecaków wraz z wyposażeniem dla młodych uchodźców zamieszkujących podzielonogórską gminę Świdnica. Przez lata wspierał finansowo ogólnoświatową akcję UNICEF-u i Kiwanisu, której celem było wyeliminowanie choroby tężca na świecie. Włączał się także w akcję jodowania soli w Afryce.

W zielonogórskim Kiwanisie działa 12 kobiet o średniej wieku… Tych arytmetycznych działań tu przeprowadzać nie będziemy, gdyż wszyscy wiedzą, że wiek to przecież stan umysłu, a nie cyfry. Co ciekawe, oprócz działalności statutowej panie pomagają sobie wzajemnie, wspierając się w innych aktywnościach, których każda z nich ma mnóstwo. Opowiadając o swoim klubie często podkreślają, że dzielą się swoimi talentami z tymi, którzy ich potrzebują.

AB